MYŚL NARODOWA

DWUTYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK VIII. Nr 15 WARSZAWA, 15 CZERWCA 1928 R. CENA NUMERU 1 zł.

ANALOGJE HISTORYCZNE

GDY zastanawiamy się nad dzisiejszemi niedomaganiami konstytucyjnemi, musimy sięgać myślą w dawną naszą przeszłość, a to w tym celu, by nawiązać do tych tradycyj, które są zdrowe, a zarazem by uniknąć błędów naszego ustroju, które były źródłem słabości. Ku tej przeszłości zwrócił się też w swojem przemówieniu w Sejmie ks. Janusz Radziwiłł, wzywając do unikania tych błędów, które popełniono w XVI w., w czasie walki o zakres władzy królewskiej. „Był to moment",—mówił—„gdy Stefan Batory śmiało i zdecydowanie podjął walkę z ówczesną demokracją szlachecką. Cały szereg zdań, które słyszeliśmy przy obecnej dyskusji w tej Wysokiej Izbie, żywo przypomina zdania, które podówczas właśnie ze strony tej demokracji szlacheckiej padały... Nie idźcie Panowie dzisiaj w zmienionych warunkach naszego bytowania narodowego tą samą drogą, którą szła dawna szlachta polska, przeciwstawiając się każdej próbie wzmożenia autorytetu Rządu i autorytetu ówczesnej głowy państwa".

Mniejsza już o to, czy zupełnie ścisłe są szczegóły historyczne, na których oparta jest powyższa analogja. Stefan Batory istotnie dążył do wzmocnienia władzy królewskiej, ale w tej walce usiłował się oprzeć właśnie na demokracji szlacheckiej, przeciw anarchji możnowładzców; przez nich był uważany za parwenjusza, dążyli oni do tego, by jego władzę jaknajbardziej osłabić. Wszelako w grubych linjach analogja z przeszłością niewątpliwie istnieje. Władza królewska była słaba, Sejmy były wszechwładne, przynajmniej o ile chodzi o czysto negatywną stronę ich działalności. Przez naszą przeszłość, jak nić czerwona, przewija się problemat stosunku władzy królewskiej do praw parlamentu, który to problemat nie mógł, na nieszczęście państwa, doczekać się racjonalnego rozwiązania.

Bardzo ciekawie to zagadnienie formułuje Stan. Leszczyński w swoim „Głosie wolnym": „Przyznać należy, że nasi antecessorowie najwarowniejsze założyli fundamenty *in iusto aequilibrio* między powagą majestatu i władzą praw i prerogatyw wolności, tą intencją, aby królowie powagą majestatu wstrzymywali wolność, z drugiej strony, żeby wolność hamowała ambicję królów... I cóż za skutek tak zbawiennej symetrji? Ten, że majestat pasuje się ustawicznie z wolnością, aby ją zgubić, a wolność z majestatem, żeby zrzucić z siebie to jarzmo, którego się strasznie boi".

Istotnie, było ciągle pasowanie się majestatu z wolnością. Niejeden król, nietylko Stefan Batory, dążył do zdobycia większej władzy, a szlachta o swoją wolność była zazdrosna. Z tej walki nic nie wyszło, aż po sam koniec istnienia Rzeczypospolitej. Trudno tu dociekać przyczyn, dlaczego się tak stało. Ale jest jedna rzecz bardzo znamienna. Oto był spór z poszczególnymi królami, którzy chcieli mieć większą swobodę ruchów, ale nie było stałego dążenia, by stosunek władzy królewskiej do parlamentu oprzeć na innych konstytucyjnych podstawach. Król chciał mieć więcej władzy dla siebie. Szlachta opierała się, stawiając zwykle całą rzecz na gruncie raczej osobistym, stosunku do osoby króla. Ale mimo tej walki, na przestrzeni paru ostatnich wieków istnienia dawnej Rzeczypospolitej nie znajdziemy wielu projektów naprawy jej ustroju, a w każdym razie nie było stronnictwa, któreby umiało dążyć do realizacji określonego przez siebie programu, z pokolenia w pokolenie, niezależnie od przejściowych konjunktur politycznych.

Powtarza się jeszcze i dzisiaj płytkie frazesy, że dawną Polskę zgubiła niezgoda stronnictw. A tymczasem cechą znamienną życia politycznego dawnej Polski był właśnie brak stronnictw politycznych, jeżeli

przez stronnictwo rozumiemy organizację z programem, obliczoną na dalszą metę, dążącą do władzy w imię tego programu. Były u nas fakcje, pozostające czasami na usługach obcych, które tworzyły się wtedy, gdy chodziło o wybór króla, a potem traciły swoje znaczenie. Były „familje“ potężnych rodów, które przy pomocy utrzymywanej przez siebie klijenteli dążyły do zagarnięcia dla siebie godności. Zdarzały się od czasu do czasu rokosze przeciw prawowitej władzy. Ale stronnictw nie było. Dawni Polacy byli bezpartyjni — a ta bezpartyjność doszła do największego rozkwitu za czasów saskich. Gdy zaś w II połowie XVIII w. zjawił się ruch w kierunku ratowania Polski, wówczas zaczęły powstawać stronnictwa. Dziełem stronnictw była Konstytucja 3 Maja — nie zawsze więc stronnictwa przynosiły nieszczęście Polsce.

Jak jest dzisiaj? Jesteśmy świadkami naganki na stronnictwa, jako na źródło niezgody i słabości państwa. Głosi się kult „bezpartyjności“. Czasami nawet walce stronnictw przypisuje się nasze niedomagania gospodarcze. Tak np. w sprawozdaniu komisji budżetowej o budżecie Ministerstwa Rolnictwa czytamy następujące zdanie: „W dyskusji zapytano, czemu rolnictwo nie wyzyskało konjunktury z epoki dewaluacji za czasów poprzednich — otóż sądzę, że za wiele czasu i energji poświęcano na walki polityczne oraz partyjne, — jednem słowem za wiele było próżniactwa i partyjnictwa, a za mało pracy i produkcji“.

Otóż „partyjnictwo“ i „próżniactwo“ uchodzą tu niemal za synonimy. Coprawda właśnie spekulacyjne wyzyskiwanie dewaluacji doskonale łączyło się z próżniactwem, ale nie o to w tej chwili chodzi. Łatwo jest wskazać na przykłady, że rozwój „partyjnictwa“ nie przeszkadza rozwojowi produkcji. Wielka Brytanja w I połowie XIX wieku przeszła okres ogromnego rozkwitu gospodarczego, a równocześnie wtedy walki partyjne były bardzo żywe. Rozwielmożnione niewątpliwie partyjnictwo w Stanach Zjednoczonych Am. Półn. nie przeszkadza bynajmniej jej gospodarczej potędze, doprowadzeniu pracy do największej intensywności. Nie można łączyć razem, a nawet przeciwstawiać sobie rzeczy, między któremi niema logicznego związku.

Na tle tych faktów występują jaskrawie istotne analogje historyczne z naszą przeszłością i cała szkodliwość walki z tak zw. „partyjnictwem“. Polska obecna musi rozwiązać ten sam problemat, z którym przez całe wieki porała się bezskutecznie dawna Rzeczpospolita: problemat równowagi władz, skutecznego wzmocnienia władzy wykonawczej. Widzimy, że ci, którzy mówią o potrzebie tego wzmocnienia, stawiają nieraz błędnie całą sprawę na gruncie osoby, na gruncie stosunku w danej chwili aktualnego. Chodzi im o to, by silnym był ten a ten rząd, a nie rząd wogóle. Ci zaś, którzy odczuwają potrzebę gruntowniejszej naprawy naszego ustroju, skupieni w organizacji politycznej, uważającej się za „bezpartyjną“, łączącej najsprzeczniejsze żywioły, nie mogą się pogodzić z sobą co do tego, w jakim kierunku ma iść zmiana Konstytucji i poprzestają na drobiazgach i frazesach. Jeżeli w grupie tej jest pozytywna wola przedłożenia projektu naprawy, to ta grupa musi stać się... partją, — albo też z niej wydzieli się parę partyj o odmiennych programach; niema innego wyjścia. Muszą ci ludzie uznać, że programy nie są „mierzwą słomy“.

Niewątpliwie taki stan rzeczy, w którym rządząca grupa polityczna skupiona jest wokoło jednej osoby i w praktyce zadowala się podziałem władzy i wpływem na nią, a nie znajduje jednej, wspólnej odpowiedzi na najważniejsze zagadnienia państwowe, nie jest świadectwem wysokiej kultury politycznej. Ale w dzisiejszych warunkach takie stosunki długo trwać nie mogą. Rzeczywistość silniejsza jest od bezpartyjnego frazesu. Jest obowiązkiem świadomych politycznie czynników przyśpieszyć ten proces dojrzewania politycznego społeczeństwa. Winno ono zrozumieć, że nie wolno nam popadać w dawne błędy, nie wolno nam żyć w atmosferze, w którejby nie mogły się rozwijać nowoczesne stronnictwa. „Bezpartyjne“ czasy saskie nie mogą być wzorem, który będziemy naśladowali.

ROMAN RYBARSKI

ZMIERZCH INDUSTRJALIZMU

ENTUZJAŚCI Ameryki, których się u nas, jak wszędzie zresztą w zbiedniałej Europie, namnożyło ponad miarę, powinniby mieć teraz chwilę zwątpienia: oto w tej słynnej ze znakomitych urządzeń i świetnych, za wzór stawianych metod gospodarczych krainie jest obecnie 4.000.000 bezrobotnych. Jest to niewątpliwie jeszcze jeden z wielu rekordów amerykańskich, ale tym razem rekord, z którego chyba amerykanie, ani ich czciciele nie są dumni.

— Cóż u licha, — pomyśli niejeden z wielu admiratorów Nowego Świata, tylu ludzi bez pracy? I to mimo Taylora, Hoovera, Forda, i kolosalnych bogactw zgromadzonych podczas wojny? Coś tam musi być nie w porządku.

W i innym, wysoce przemysłowym kraju, w Anglji, liczba bezrobotnych od czasu wojny trzyma się stale niemal ponad miljonem, opadając poniżej tej kwoty tylko na czas krótki, przejściowo. A przecież jeszcze najnowsze metody, zwiększające wydajność pracy, nie są bynajmniej powszechnie stosowane. Co się stanie, gdy naukowa organizacja obejmie wszystkie kraje i przemysły? Ilu wówczas będzie bezrobotnych i kto będzie ową produkcję konsumował?

Zagadnienie, które obecnie domaga się rozwiązania nie jest bynajmniej nowe. Pojawiło się ono odrazu przy wprowadzeniu w początkach XIX wieku maszyny parowej i warsztatu mechanicznego. Wywołało to, jak wiadomo, bunty pozbawionych pracy przeciwko maszynom. Z buntami poradzono sobie w sposób drastyczny: w Anglji powieszono 18 robotników za próby niszczenia maszyn, ale zagadnienia nie rozwiązano. Znikło ono jednakże chwilowo, a to

z tego powodu, że wywołany przez zastosowanie pary rozwój komunikacji, zmienił konjunkturę i pozwolił na to, że Anglja, która pierwsza wprowadziła u siebie pracę maszyn, stała się krajem fabryk, produkujących na użytek całego świata. Lokalne tedy bezrobocie angielskie ustąpiło przed światowemi rynkami, otwartemi przez koleje żelazne i żeglugę parową, popartą, jak to było w Japonji, bombardowaniem portów, których właściciele nie dość śpiesznie otwierali swe kieszenie przed kupcem angielskim czy później amerykańskim. Mechanizacja produkcji święciła przez długi okres triumfy i sprowadziła na narody wcześnie jej się poświęcające wielki dobrobyt: zarobek realny człowieka, żyjącego z pracy rąk, wzrósł w Anglji w ciągu XIX wieku czterokrotnie, robotnik w końcu tego stulecia mógł za swą pracę nabywać cztery razy więcej żywności, ubrania i t. p. niż w końcu XVIII wieku. Narody przemysłowe zgromadziły potężne bogactwa, nic dziwnego przeto, że wątpliwości co do systemu, sprowadzającego tak błogie skutki, upadły, a dopóki organizacje robotnicze nie nabrały dostatecznej siły, wszelkie żądania obrony człowieka przed maszyną, a nawet ograniczenia pracy dzieci i kobiet uważano wprost za herezję.

Z niewspółmierności między maszynową wytwórczością a spożyciem narodził się wprawdzie socjalizm, ale z biegiem czasu zapomniał on o swojem pochodzeniu, stał się wyznawcą nieograniczonego panowania maszyny i gromadzenia ludzi w wielkie stada, pracujące według sygnałów syreny fabrycznej i nic dla zssadniczego rozwiązania preblematu nie uczynił. Tymczasem zagadnienie to, przesłonięte konjunkturą, którą trudno wprawdzie byłoby nazwać chwilową, bowiem trwała prawie wiek cały i jeszcze dzisiaj się nie skończyła całkowicie, ale jest w każdym razie czasową, zaczyna się narzucać naszej uwadze coraz natarczywiej. Istnieją jeszcze Chiny, Rosja i inne kraje mało uprzemysłowione, konjunktura się jeszcze nie wyczerpała całkowicie, dlatego też industrjalizm nowoczesny nie daje za wygraną. Jest jednakże, i słusznie, zaniepokojony, zbiera narady, ankiety, tworzy nowe organizacje, obmyśla sposoby. Niektóre z nich są prawdziwie dla cywilizacji groźne.

W któremś z pism angielskich pomieszczono żartobliwe przedstawienie sposobu pogodzenia zbyt wielkiej maszynowej produkcji z ograniczoną możnością spożycia. Ulubioną potrawą w Szkocji jest rodzaj kaszy owsianej, specjalnie przyrządzonej, zwanej tam *„porridge"*. Jest to wprawdzie obrzydliwość nie do przełknięcia dla katolickiego gardła, ale Szkoci zajadają się tem zapamiętale i nawet przypisują temu jadłu większość swych pozytywnych właściwości narodowych. Otóż ów żartobliwy autor angielski powiada, że tak popularny i szeroko się rozchodzący artykuł, jak *„porridge"* zwrócił uwagę sfer przemysłowych i niebawem na rynku ukazała się maszyna do gotowania owej kaszy, ogromnie ekonomiczna, nie wymagająca pomocy kucharki i niesłychanie, ileś tam razy wydajniejsza od zwykłego garnka. Cóż kiedy ludność całej Szkocji nie byłaby zdolna zjeść przy najlepszych chęciach nawet drobnej części tej ilości *„porridge*'u", jaką owe maszyny mogły zgotować, i wobec tego sprzedaż maszyn rychło stanęła. To jednakże nie zniechęciło pomysłowych przedsiębiorców, przeciwnie, powołało nowy rodzaj przemysłu, mianowicie wyrób pomp do wypompowywania *„porridge*'u" z żołądka i robienia w ten sposób miejsca na nowe porcje, a już odpowiednia reklama wmówiła w ludzi przekonanie, że to jest właśnie najhygieniczniejszy i odpowiadający najnowszym zdobyczom nauki sposób odżywiania.

W żarcie tym jest atoli niemałe jądro prawdy. Wystarczy przyjrzeć się uważnie stronicom ogłoszeniowym prasy obu kontynentów, żeby ocenić jak poważna część wysiłków przemysłowych skierowana jest ku wytwarzaniu przedmiotów nikomu w gruncie rzeczy niepotrzebnych, zbywanych z wielkim trudem przy pomocy reklamy, kosztującej nieraz więcej, niż sama produkcja. Przecież słynny samochód Forda nie różni się zasadniczo od owej maszyny do *„porridge*'u": Zachęca on niską ceną tych nawet, którzy go nie potrzebują, stwarza sobie tym sposobem obszerny rynek zbytu i podtrzymuje ten rynek tem, że jako produkt lichy prędko się psuje, częstokroć prędzej nawet, aniżeli zostaną spłacone raty, na jakie został nabyty. Nie chodzi tu o urażenie licznych u nas wielbicieli Forda, o podanie w wątpliwość jego wybitnych talentów konstrukcyjnych i organizacyjnych, aczkolwiek i tutaj, stosownie do zwyczajów epoki gwiazd filmowych, nazbyt łatwo szafujemy epitetem „genjalny"; po namyśle każdy przyjdzie jednak do przekonania, że system Forda stwarzania sobie rynku zbytu jest ekonomicznym figlem. Na figlu takim oczywiście można — jak tego dowiódł — zrobić wielki majątek, społeczny jednak wynik tej ekonomji jest conajmniej wątpliwy.

Tego rodzaju figlów celem sztucznego wywołania popytu na wytwory, płynące nieustającą i wciąż wzbierającą falą maszynowej produkcji, jest w dzisiejszej gospodarce bardzo wiele, są to jednak wszystko paljatywy, nie rozwiązujące kwestji zasadniczo. To też dzisiejszy industrjalizm stosuje już i rozważa także inne środki, groźniejsze.

Pisałem już przed niejakim czasem w „Myśli Narodowej" o coraz wyraźniej występującej „złotej" międzynarodówce, czyli o międzynarodowej finansjerze, sięgającej po berło panowania nad światem. Manifest wydany do narodów i rządów przez tę międzynarodówkę przed niespełna dwoma laty, ujawnił tendencje, panujące w kołach wielkich bankierów świata, nie odniósł on jednakże na razie żadnego skutku. Nie zraziło to przecież finansistów i przed paru tygodniami dowiedzieliśmy się o powstaniu organizacji finansowej, mającej nauczyć rozumu ludzkość, dotychczas jeszcze oporną. Pod kierownictwem znanego przemysłowca, szlachcica angielskiego wyznania mojżeszowego, sir Alfreda Monda, powstało konsorcjum finansowe, na razie z kapitałem tylko 2 miljonów funtów szterlingów, lecz oparte, według oświadczenia p. Monda, o zasoby właściwie nieograniczone. Konsorcjum to zamierza zająć się racjonalną organizacją produkcji i, jak skromnie oświadcza p. Mond, nie stawia przytem sobie geograficznych granic w swej działalności. Mamy tedy pierwszą świadomą i celową próbę narzucenia narodom takich form produkcji, jakie leżą w interesie wielkich finansów międzynarodowych, zorganizowania świata według życzeń londyńskiego *city* i nowojorskiej *Wallstreet*. Na razie wprawdzie sir Alfred zapowiada bojkot tylko sowietów, ale, oczywiście, biada wogóle wszystkim krnąbrnym narodom, których polityka w jakiejkolwiek gałęzi nie będzie odpowiadała widokom finansjery—zostaną one odcięte od źródła kapitału. Działo się to, rzecz zrozumiała, częściowo i dotychczas, jednakże bez systemu ogólnego. Istniała więc konkurencja między rozmaitemi grupami finansowemi, rynek pieniężny w Anglji i Ameryce w sprawach inwestycyj zagranicznych słuchał wskazówek władzy politycznej. Teraz ma być wszystko

usystematyzowane, a wszelkie względy podporządkowane interesowi kapitalistycznej produkcji. Mamy już, jak się okazuje, pierwsze narzędzie do podboju świata przez zjednoczony kapitał.

A podbój ten ma iść bardzo daleko i dotknąć dziedzin dotychczas nieporuszanych. Głośny ekonomista obozu liberalnego w Anglji, znany i u nas z czasów dyskusji nad traktatem wersalskim, John Maynard Keynes, oświadcza się w swych wykładach, wydanych pod tytułem „*The End of Laissez-Faire*", za ograniczeniem przyrostu ludności. Mówi wprawdzie, że każdy naród będzie musiał zadecydować, jaka liczba ludności jest najodpowiedniejsza i ustaliwszy to, będzie musiał zastosować środki do osiągnięcia tego celu, jednak od tego przecież tylko krok do międzynarodowego regulowania tej sprawy, a ponieważ wywołana została ekonomicznemi względami, więc oczywiście kompetentną instancją będą ekonomiści, czyli bankierzy. A skoro raz zdecydujemy się już na ustawowe regulowanie przyrostu ludności i utrzymywanie liczebności narodu na ekonomicznie najodpowiedniejszym poziomie, to przecież byłoby nieopatrznie i nielogicznie pozostawić przypadkowi liczebne ustosunkowanie się poszczególnych klas czy warstw narodu. Wszystko tedy musi być według jakiegoś cenzusu ustalone i odpowiednie kwanta przyrostu do pewnych zajęć winny być, według wskazań psychotechniki, trenowane. Społeczeństwo termitów.

Tomasz Morus, pisząc swoją „Utopję" w zaraniu epoki przemysłowej, zauważył, że na polach Anglji owca zaczyna zjadać człowieka. Dziś maszyna okazuje niedwuznaczną chęć pożarcia ludzkości. W odległych wiekach, kiedy ludzie umieli wyciągać z ziemi nikłe tylko plony, głód okrótnym uciskiem utrzymywał słabą liczebność narodów. Dziś w epoce rozkwitu wszelakiej techniki, radzą nam ograniczać rozrost ludzkości dlatego, że udoskonalone maszyny potrzebują już mniej ludzi do obsługi. Człowiek więc jest dla maszyny i przemysłu, a nie maszyna dla człowieka. Pomysły te są nietylko względem człowieka bluźniercze, ale i dość lekkomyślne; bo ostatecznie dla kogo te maszyny będą produkowały? Świadczą tylko o zmierzchu panującego systemu industrjalnego, skoro on aż do tak rozpaczliwych uciekać się musi środków.

W największym kłopocie znalazły się dziś oczywiście te kraje, które oparły całą swoją egzystencje na przemyśle, a którym się obecnie klijenci jeden po drugim wymykają. Jednak i u nas sprawa należytego zorganizowania gospodarstwa narodowego nie jest nietylko rozwiązana, ale dotychczasowe kroki stawiamy bodajże przeważnie na fałszywej drodze. Idziemy wciąż, a raczej usiłujemy tylko iść naoślep za krajami przemyłowemi, nie badając krytycznie ich stanu i doświadczeń.

Ekonomiści nasi nawołują do uprzemysłowienia kraju tak, żeby przynajmniej 40% ludności mogło znaleść zatrudnienie w fabrykach. Jest to zresztą oddawna i powszechnie uznane za pożądane, do tego celu zmierzały wysiłki społeczeństwa przed odzyskaniem niepodległości i w tym kierunku pracują wszystkie nasze rządy. Bez większego wszakże, jak dotąd, skutku. I trzeba stwierdzić, że widoki powodzenia są nader małe, jeżeli trzymać się będziemy międzynarodowego szablonu, zamiast zdobyć się na obmyślenie własnego, dostosowanego do naszych warunków i potrzeb programu ekonomicznego.

Mówiąc i pisząc o uprzemysłowieniu kraju, nieomal zawsze mamy na myśli jedynie przemysł wielki, fabrykujący na eksport. Oczywiście, byłoby dla nas pod względem materjalnym nadzwyczaj korzystne, gdybyśmy mogli rozwinąć u siebie taki przemysł i tym sposobem zbogacić się na wywozie naszych gotowych produktów, jednak szanse osiągnięcia tego są bardzo nikłe. Rynki świata przeładowane są produktami, zwłaszcza masowej fabrykacji, i nie jest to bynajmniej kryzys chwilowy, lecz zmierzch okresu industrjalnego. Pojemność rynku światowego jest ograniczona, a tymczasem możność, a nawet konieczność ustawicznego zwiększania produkcji w dzisiejszym systemie wciąż rośnie. Stąd kryzys. W państwach najbardziej uprzemysłowionych, jak w Anglji, myślą tedy nad sposobami skierowania pewnej części ludności miast napowrót na rolę, a z drugiej strony oczywiście nad zabezpieczeniem sobie istniejących jeszcze rynków zbytu; pośród metod zaś, wiodących do tego celu, widnieje zarówno we wnioskach partji liberalnej, jak i w programie Alfreda Monda — odmowa kapitałów na uprzemysławianie przyszłych konkurentów. W tych warunkach zdobycie jakiegoś nowego rynku zbytu będzie niezmiernie ciężkie, jeżeli nie niemożliwe. Najlepszy dowód mamy na naszym wywozie węgla do Skandynawji: pod naciskiem konkurencji angielskiej wywozimy tam węgiel ze stratą i na pokrycie tej straty pozwalamy przemysłowcom węglowym na podnoszenie cen na rynku wewnętrznym; podtrzymując więc ten kulejący eksport wspólnemi siłami, ze wspólnej kieszeni, płacimy pewien podatek, rodzaj premji ubezpieczeniowej, żeby mieć w zagłębiach węglowych mnej bezrobotnych. Nie zamierzam tu kwestjonować tej polityki i rozpatrywać, czy opłacanie tej premji nie kosztuje społeczeństwa drożej, niżby wyniosło utrzymanie owych przypuszczalnych bezrobotnych, chodziło mi jedynie o zwrócenie uwagi na to, że nawet w wypadku, kiedy rozporządzamy pierwszorzędnym produktem i zupełnie nowoczesną organizacją wytwórczą i handlową, zdobycie i utrzymanie rynku zewnętrznego bywa operacją deficytową. Cóż przeto mówić o bardziej zacofanych pod względem organizacyjnym przemysłach, albo o takich, które dopiero obecnie, przy dzisiejszej drożyźnie pieniądza przyszłoby montować?

Zamiary oparcia naszej pomyślności na wielkim przemyśle eksportowym wydają się dość nierealne, skoro bogatsi od nas i wyżej stojący konkurenci, sami poszukujący gorączkowo rynków, nas na nie nie wpuszczą. Tymczasem organ naszej woli w tej dziedzinie, ministerstwo przemysłu i handlu jest całkowicie pod urokiem tych marzeń, jak świadczy charakterystyczna pozycja subwencyj. Czytamy tam: na nagrody dla terminatorów — 5000 zł. na poparcie sportu żeglarskiego i propagandę morza—130000 zł. Nie mam, broń Boże, nic przeciwko sportowi żeglarskiemu i propagandzie morza, uderzyć przecież musi każdego stosunek tych dwóch cyfr, skoro wiadomo, że rzemiosło u nas stanowi wielką pozycję w gospodarstwie narodowem i żyje z niego kilkaset tysięcy rodzin. Czy zaś wobec takiego stosunku do realnych zjawisk naszego życia nie jest zrozumiałe, że z owem „uprzemysłowieniem kraju" jest tak jakbyśmy nieco w piątkę gonili?

Ta mało wawrzynów obiecująca gonitwa będzie trwała dalej, jeżeli wciąż będziemy upierali się przy formach przeżytych i startowali z wielkim impetem w tym samym kierunku, w którym inni dobiegli już do mety

i... znajdują się wobec bezdroża. Industrjalizm doszedł do kresu i zadania zasadniczego, zapewnienia ludziom pracy i chleba, nie rozwiązał. Uczony przedstawiciel tego kierunku p. J. M. Keynes (i nie on jeden) widzi ratunek między innemi w ograniczeniu wzrostu ludności, czyli innemi słowy nie znajduje innego wyjścia, aniżeli praktykowane z głodu przez barbarzyńskich chińczyków, mordowanie „zbytecznych" dzieci. Czyż można sobie wyobrazić jaskrawszy dowód bankructwa systemu gospodarczego, do takich dochodzącego rezultatów?

Narodowy program gospodarczy musi ominąć tę ślepą ulicę, w którą zabrnęły społeczeństwa, czyniące człowieka niewolnikiem maszyny.

ZYGMUNT RACZKOWSKI

O IDEI JAGIELLOŃSKIEJ

(Dokończenie)

RZECZĄ było polityki wewnętrznej kraje przez państwo uzależnione od Polski, zespolić z nią mocniej, przyswoić, wchłonąć. Czy ten nakaz, uznawany przez wszystkie rządy świata, Jagiellonowie zlekceważyli? Czy może przeciwnie, próbowali łamać i niszczyć wszelką w państwie odrębność terytorjalną, wyznaniową, narodowościową, na sposób moskiewski lub germański?

Ani jedno ani drugie. U progu unji stanęli wobec faktu rzeczywistego nie do usunięcia. Faktem tym był nadmiar obszaru. Że Polska nie może naprawdę zaanektować Litwy, o tem przekonał się prędko Jagiełło. Również niepodobieństwem była prędka asymilacja przez rozkaz z góry: możliwem tylko *mysterium charitatis* na podkładzie solidarnych interesów panującej warstwy społecznej. Cokolwiek nie przejęło się duchem owej solidarności, co poczuło się plemiennie, religijnie, kulturalnie obcem, lub choćby obojętnem a lękliwem, to w drugiej połowie XV wieku od państwa Litewskiego odpadło i zamalgamowało się z Moskwą. Reszta tem mocniej zrosła się z Litwą, a pośrednio z Polską Jagiellonów.

Trzy czynniki złożyły się wówczas na ów proces zrastania się: rozległość obszarów do zasymilowania, osobisty charakter królów, nieskłonnych do gwałtu — oraz polskie, a nie litewskie, więc właściwie nie jagiellońskie zasady stanowienia o sobie.

Jeżeli Kraków nie mógł niczego narzucać Sandomierzowi, ani oba razem zadać gwałtu Wielkopolsce, to czyż mogła być mowa o forsownej unifikacji całej Litwy i Rusi przez polskie ośrodki państwa Jagiellonów? Ani siły, ani ochoty nie było po temu, by dajmy na to, kasować radę W. Ks. Litewskiego i zastępować ją senatem kopjowanym z Polski albo przebudowywać na polski sposób sejm litewski. Naród, który w osobie Pawła Włodkowica uczył Europę, że się nie godzi przemocą nawracać niewiernych, nie mógł przemocą przerabiać ducha współbraci chrześcijan, ten naród o łagodnej krwi *(dulcis sanguis Polonorum)* wpaja Litwie zasady braterstwa; w dyplomacie horodelskim panów polskich i nie w żadnym innym, znalazła wyraz słynna *charitas*, idea polska i chrześcijańska a nie żadna idea jagiellońska, jak polskim był również ów samorząd sejmikowy, który ziemie ruskie, a później też litewskie od nas zapożyczyły.

Potomkowie Jagiełły również z całą Litwą przyjęli od nas poczucie konstytucyjne i poszanowanie samorządu stanów oraz dzielnic. Ciężko z nim bywało Kazimierzowi IV i niewiadomo, jakby współżyli z sejmem Olbracht i Aleksander, gdyby pożyli dłużej. Zygmunt I z ubolewaniem pisał o skrępowaniu monarszych rąk szalonemi plebiscytami.

A jego syn już bez ubolewania, z zupełną owszem rezygnacją tłumaczył królowi duńskiemu, że królowie polscy żyją i rządzą według ustaw, a nie według swego widzimisię. Rezygnacja nie rozciągała się jednak na pierwszorzędne sprawy duchowe, od których zdrowie moralno-polityczne państwa zależało. Słychać czasem o państwie jagiellońskiem, jako o jakiejś arce Noego czy wieży Babel różnych języków, wiar i obyczajów, bez narodowej świadomości. W taką karykaturę idea jagiellońska nie wpadła. Sprawy językowe Zygmuntowie pozostawili społeczeństwu, i ono samo pod powiewem reformacji rozwinęło i rozniosło mowę polską aż po Bałtyk, Dniepr i Dźwinę, jednakże Zygmunt August umiał żądać od krnąbrnych Gdańszczan, by doń przemawiali po polsku. W stosunku do wyznań zaznaczyła się wcześnie na Litwie i na Rusi dążność do propagandy katolicyzmu przez przyznanie samym katolikom horodelskich przywilejów społecznych: ta powściągliwość opłaciła się państwu niezgorzej. Nowinkarzy zachodnich traktował Zygmunt Stary pobłażliwie, o ile nie wywoływali — jak w Gdańsku — rozruchów społecznych. Zygmunt August wahał się między Rzymem i kościołem narodowym, czekając aż naród sam okaże, czy pragnie reformy kościelnej i mianowicie jakiej: z chwilą, gdy propaganda protestantyzmu wyczerpała swą siłę, król przyjął ustawodawstwo trydenckie, i łagodnie ale stanowczo zabrał się do przywracania Polsce jednolitości religijnej. Co się zaś tyczy poczucia narodowego, to w pojęciu Zygmunta Augusta każdy obywatel jego państwa musiał być *natione Polonus* albo *Lithuanus*. „Wyście Polacy!" wołał do tych Prusaków, co w sejmie walnym wspólnego państwa nie chcieli siedzieć, a u siebie na sejmiku prowincjonalnym dąsali się na dźwięk polskiej mowy.

Na tle tych przeobrażeń duchowych, wśród rozlicznych objawów politycznego całkowania się Rzeczypospolitej, dojrzewała najrdzenniejsza część „idei jagiellońskiej" — unja z Litwą. Wiadomo, ile ona przeżyła wcieleń i zaćmień. Po akcie krewskim, t. j. po inkorporacji (1385) — akt radomsko-wileński, przywracający samoistność państwową Litwy (1401), akt horodelski, utwierdzający unję osobistą; zerwanie tej unji w r. 1492, luźne przymierze r. 1499, znów unja osobista mielnicka r. 1501, wreszcie unja realna lubelska.

Co jakiś czas, z charakterystycznym uporem wraca w tych układach hasło inkorporacji: brzmi ono i w r. 1385 i w 1413 i w 1501. Wielki książę Aleksander sam je podejmuje jako jedyny sposób „naprawy" Rzplitej: zgłaszając się po koronę polską, aby do Polski wcielić Litwę. Wtedy możnowładcy z W. Księstwa, wstrząśnięci najazdem moskiewskim, już przejmują zasadę inkorporacji, byle przez nią rozumieć obustronne zlanie się dwóch narodów, a nie pochłonięcie jednego przez drugi. Później ten nastrój na Litwie mija: im śmielej strona polska żąda „egzekucji" zapowiedzianego praojcom wcielenia, tem uporczywiej litewscy Radziwiłłowie bronią samoistności drugiej połowy jagiellońskich dzierżaw.

Król „nie wiedzie nikogo do niewoli, ale do większej wolności i swobody... spólnej braterskiej zgody a miłości obojga państwa zarówno". Chodzi tylko o formę ustrojową owej zgody, o wyszukanie konkretnej wypadkowej między formułą mielnicką Aleksandra: „jedno nierozdzielne i nieróżne ciało,... jeden lud, jeden naród, jedno braterstwo i wspólne obrady pod jednym królem i panem", — a zasadą Radziwiłłów: wspólna elekcja, wspólna obrona i wspólne nad temi sprawami obrady. Strona polska cytuje pergaminy (mianowicie horodelski); strona litewska próbuje też „potrząsać" przywilejem (mielnickim), ale zmiarkowawszy, że w nim także jest mowa o inkorporacji, woli lekceważyć pergamin a natomiast akcentować miłość i „chęć" wzajemną. W początkowych stadjach rokowań po stronie litewskiej nieprzyjaciele Radziwiłłów na Litwie probują paraliżować ich opór przeciwko unji, zato przyjaciel koronny Tarnowski odradza zbyt natarczywą taktykę, jaką zainaugurował był jeszcze na zjeździe w Brześciu szef delegacji polskiej Samuel Maciejowski. Wybuch wojny inflanckiej przyśpiesza zbliżenie: dochodzą do głosu szerokie warstwy szlacheckie nietylko w Koronie ale i w Księstwie: jakby na spotkanie petycji mało- i wielkopolskiej wychodzi z Sejmu obozowego pod Witebskiem petycja rycerstwa litewskiego, której myśl ująć można w formule: społeczne ujednostajnienie bez zatarcia państwowej odrębności Litwy. Od chwili utraty Połocka sprawa wchodzi w stadjum decydujące i wnet wychodzi na jaw, że zarówno asymilacja, jak zjednoczenie muszą porobić dla dobra obu narodów znaczne postępy.

Znaczyło, to że Litwa upodobni się do Polski, i uzależni się od niej. Unję zbliża reformacja, do unji zmusza niebezpieczeństwo moskiewskie, do unji skłania wzgląd na bezdzietność króla. Pozatem przecież tak Sejm koronny spragniony zupełnego wcielenia, jak król, który w imię jedności państwowej zrzekł się dziedzictwa tronu na Litwie, pojmują, że nie samą miłością, ale także urządzeniami i kulturą trzymają się państwa. Rozwój życia narodowego w Polsce asymiluje Litwę, planowa polityka unifikacyjna króla, wyrażająca się w reformie agrarnej („wołoczna pomiera" 1557 r.), w zaprowadzeniu na Litwie sejmików (1565), oraz sądów ziemskich, grodzkich i podkomorskich (1565—6) umożliwiają ten rezultat, którego sama sztuka negocjatorów nigdyby nie osiągnęła. Oczywiście, niemało zawisło od tonu rozmów. Król upominał niezliczone razy koroniarzy i litwinów, by „w zgodzie i miłości rozmawiali" (1563). Prof. Halecki może i słusznie powątpiewa, czy miała sens propozycja koroniarzy, aby Litwę odrazu nazwać „Nową Polską", czy nie lepiej było działać „tylko z dobrej woli i z takiej samej chęci i miłości". My ze swej strony możemy również spytać, czy Litwa zrzekłaby się osobnego Sejmu (1564), gdyby jej nie zmiękczono właśnie perspektywą zniesienia samego tytułu W. X. Litewskiego. Toczył się targ, więc wypadło zaczynać od *maximum*, a skończyć na *minimum*, i słusznie nasi Sienniccy, Szafrańce, Ossoliński obstawali przy pergaminach, a całkiem nie w porę nasz Padniewski rezygnował ze wspólnego sejmu (1569). Dopiero też dzięki mocnej postawie koroniarzy mógł Zygmunt August odegrać rolę medjatora, i w tej to jego roli, w unikaniu twardych akcentów, w giętkiej i miękkiej taktyce, w wywoływaniu rzewnych nastrojów, a nie podjętej z góry koncepcji dualistycznej wyraziła się jego indywidualna zasługa, jego „idea jagiellońska".

Prawda, że mądry król w prawdziwym formalnym testamencie błogosławił temu narodowi, który utrzymywać będzie unję, a groził przekleństwem Opatrzności zrywaczom tejże: ale on przez unję rozumiał jeno zgodę i miłość, a nie lubelski pergamin, i zacieśnieniu unji wcale się nie sprzeciwiał. Prawda i to, że artykuł 19 aktu lubelskiego dosłownie chciał go uczynić nietykalnym nietylko dla jednej, ale nawet dla obu zgodnych stron, t.j. dla Polaków i Litwinów. Lecz takich niezmiennych ustrojów historja zna dużo, i życie nad ich niezmiennością przechodziło do porządku. Pod wielu względami już unja 1569 r. była przedwczesna, gdyż wyprzedzała ujednostajnienie kultury społecznej w państwie jagiellońskiem, tego błędu należało się strzec, ale zapominać o pogłębieniu polskości na Litwie nie należało ani na chwilę.

Konkretny akt 1 lipca 1569 r. nie odpowiedział w całości ani pierwotnym dążeniom polskim ani litewskim, wprost wątpić można czy przed rokiem 1564 był polityk, któryby takie rozwiązanie: dwa państwa w jednej Rzplitej, związane wspólnością monarchy i sejmu, uważał za swoją „ideę". Spotkano się bądź co bądź bliżej stanowiska polskiego niż litewskiego, i jakkolwiek unja lubelska powstała z rokowań (kompromis 30 marca), a przybrała w tekście nazwę „traktatów i umów", naprawdę utworzyła jedną udzielną, nierozwiązalną Rzplitą. Unja osobista przeszła do archiwum, o federacji w znaczeniu nowoczesno-republikańskiem nikt oczywiście nie myślał. Warto, bądź co bądź, podkreślić dwie charakterystyczne cechy aktu lubelskiego, z których jedna znamionuje metodę Zygmunta Augusta, druga odzwierciadla tymczasowość jego dzieła.

Król nie przeciwstawił się sentymentowi posłów koronnych, żądających wcielenia Litwy, względnie—jej poszczególnych dzielnic. Nietylko nie ofiarował Radziwiłłom „kantonu" podolskiego, aby zań wytargować zgodę za unję, ale przeciwnie, przyłączył do Korony te „kantony" polskie: Wołyń, Bracławszczyznę, Kijowszczyznę, w których widział dostateczny postęp polskiej kultury i polskiej idei państwowej. Tę lekcję realizmu niedostatecznie przerobili sobie następcy Jagiellonów. Z drugiej atoli strony, unja doszła do skutku poczęści dzięki słabości polskiej budowy parlamentarnej: posłowie litewscy i pruscy mogli spokojnie zasiąść obok małopolan, wielkopolan i mazurów, gdy wiedzieli, że nikt ich nie przegłosuje, że wspólny Sejm już wówczas niezdolny do przełamania woli jednego województwa, nie targnie się na wolę całej „prowincji". Unja lubelska i *veto* znalazły się tu w niezaprzeczonem powinowactwie. Przyszłość miała dopiero okazać, czy unja zdoła współistnieć tylko z fatalną w Sejmie regułą jednomyślności, czy też wytrzyma także rządy większości.

Niestety, owa przyszłość okazała się mało twórczą i mało przewidującą. Potraktowano wyniki pracy Zygmunta Augusta tak, jakby się w nich zamknął testament polityczny „złotego wieku": ani nie prowadzono dalej jego pracy w duchu zacieśnienia unji, ani nie podjęto wytrwałych wysiłków celem wzmocnienia wspólnego Sejmu. Że jednak historja nie stoi w miejscu, że każdy, kto nie idzie naprzód, musi się cofać, więc i ojczyzna nasza w czasach pojagiellońskich potoczyła się wstecz: prawnucy parlamentarzystów lubelskich doczekali się Sicińskiego i Janusza Radziwiłła, któremu za zerwanie unji stawiają pono dzisiaj Litwini pomnik w Kownie. Inni możnowładcy litewscy, Pacowie, Sapiehowie. Ogińscy, Pocieje, nie popadając w zdradę stanu, dojdą w polityce do skrajnego separatyzmu. I dopiero prawnucy tamtych prawnuków, za Stanisława Augusta, a przedewszystkiem sam król, zrozumieją potrzebę dalszego jednoczenia Polski z Litwą. Pojawi się nareszcie—obok ciężko chorego Sejmu i słabej Rady Re-

zydentów (1576) wspólna władza wykonawcza dla obu narodów, Rada Nieustająca (1775), wspólne ministerjum oświaty (Komisja Edukacyjna 1773). Sejm Czteroletni da całemu państwu w systemie Konstytucji 3 maja—wspólny gabinet ministrów pod nazwą Straży oraz wspólne ministerja. Kościuszko też nie dopuści do tworzenia na Litwie osobnej Rady Najwyższej, każe jej być poprostu „Centralną Deputacją", więc organem zależnym od Warszawy.

Omawiając te końcowe przeobrażenia, prof. St. Kutrzeba nazywa je poprostu zniesieniem unji. Tak też było w istocie: dawny dualizm zastąpiono jednolitą budową państwa, zachowując tylko pod tytułem „zaręczenia wzajemnego obojga narodów" (październik 1791 r.) nazwę dwóch narodów, tudzież szczątki odrębności administracyjnej Księstwa. Litwa nie buntowała się, nie protestowała. Akt lubelski przestał obowiązywać. Obowiązywała nadal zupełna jedność. Czy stało się to naprzekór idei jagiellońskiej? Chyba w tem znaczeniu, że przez ideę jagiellońską rozumieć będziemy ideę Witolda i Radziwiłła Czarnego, a pod koniec dni Rzplitej—ideę targowiczan Massalskich i Kossakowskich. My jednak, wiedząc do czego dążył Zygmunt August razem z przywódcami Sejmu lubelskiego, i znając metodę jego roboty, pozwolimy sobie uważać za lepszych wykonawców jego testamentu—Sejm Czteroletni i Kościuszkę.

*

W świetle powyższych wywodów t. zw. idea jagiellońska okazuje się abstrakcją późniejszych porozbiorowych czasów, wysnutą z psychologicznej interpretacji bardzo rozmaitych zjawisk: złożyły się na nią rodzinne cechy Jagiellonów, polskie instynkty tolerancyjno-wolnościowe oraz różne konieczności i możliwości geograficzno-polityczne, od woli królów i mężów stanu niezawisłe. Były w tym splocie pierwiastki zdrowe, twórcze, obok innych wątpliwej wartości. Bądź, co bądź nawet to, co można wysnuć z faktów polityki jagiellońsko-polskiej, stanowi zjawisko jedyne w dziejach, bo ufundowane na wyjątkowej konjunkturze, gdzie nieokrzesany prostak Jagiełło zaślubia Jadwigę, poddaje się kierownictwu światłych polityków polskich — wnosi do wspólnego dorobku olbrzymi, słabo zaludniony, nisko kulturalny, a spragniony polskiej opieki przed Moskwą i Tatarami wschód. Takie konjunktury powtarzają się... może raz na tysiąc lat.

Kraków WŁADYSŁAW KONOPCZYŃSKI

O KRYTYCE NAUKOWEJ I PROFETYCZNEJ

Je devine enfin: vous voulez, Acis, me dire qu'il fait froid; que ne disiez vous: „Il fait froid"?

La Bruyère. Les Caractères, De la société et de la conversation.

W POLU krytyki literackiej dostrzegamy dwa odrębne, a często nienawistne sobie kierunki: jeden „naukowy", badawczy, drugi propagandowy, entuzjastyczny, profetyczny. Pracowitość naukowców a temperament profetów sprawiają, że sami twórcy nie kwapią się do rozważań zasadniczych nad założeniami, celami i milcząco przyjmowanemi postulatami własnej działalności. Aby w tym kierunku myśl swoją poruszyć—trzeba zawiesić nałogi w pewien tryb włożonej energji, trzeba ujarzmić ferwor polemiczny — i wziąć na siebie rolę własnego sędziego. — Skoro sami twórcy tego nie czynią, lub czynią rzadko i przygodnie, przynagleni chyba natarciem przeciwników — warto ich w tem wyręczyć.

To, co mam zamiar poniżej wyłożyć, nie jest niczem więcej, jak skromnym bilansem obserwacyj, które nasuwały mi się w trakcie czytania krytyków z obu obozów, obserwacyj, których prostota jest niemal żenująca. Mimo to decyduję się na opublikowanie moich myśli, tłumacząc sobie, że nawet prawdy najprostrze, spostrzeżenia najelementarniejsze, mogą łatwo ominąć uwagę umysłów, zajętych sprawami o wiele ważniejszemi, niż kwestja jaki procent zdrowego rozsądku mieści się w dziełach, które bądź splendorem erudycji, bądź wysokością polotu i rozmachem gestu zdobyły już sobie liczne zastępy sumiennych entuzjastów.

Trudnoby o mniej kosztowną i bardziej barbarzyńską ironję, niż ta, którą zabawiają się różni krytycy krytyków, z wyniosłem obrzydzeniem mówiący o „drobiazgowości" i tak zwanej „pedanterji naukowej" badaczy, mających w poszanowaniu ścisłość, liczących się z datą i dokumentem. Każda praca, wzbogacająca naszą wiedzę o pisarzu, który w świadomości narodu zajął miejsce trwałe i znaczące, każda zdobycz biografa i bibljografa, choćby dotyczyła rachunków domowych czy na odczepne rzuconego artykuliku dziennikarskiego — są wartościowe i żadna „szerokość poglądów" nie zastąpi faktu, który o ile jest ściśle ustalony, a dotyczy osobistości literackiej, choćby był drobny, może stać się żródłem nieobliczalnych konsekwencyj twórczych.

Nikomu nie przyjdzie na myśl kwestjonować konieczności zajęcia się szczegółami z życia Napoleona czy Sobieskiego przez autora, który ma zamiar pisać powieść z epoki jednego z tych panujących — sytuacja staje się dopiero „zabawna", gdy przedmiotem zainteresowania jest życie poety, tak zupełnie, jakgdyby nie mogło się ono stać nigdy w przyszłości tematem innej twórczości, niż przyczynkowo archiwialnej. Krytyka naukowa, dopóki ustala fakty, obala fałszywe opinje o życiu i zewnętrznych kolejach twórczości pisarza, o ile słowem, praca jej przyczynia się do utrwalenia wiernego obrazu zewnętrznego przebiegu dziejów danej osobistości literackiej — dopóty zajmuje pozycję mocną i szanowną, zaś ataki jej przeciwników, którzy w większości wypadków nie umieliby się zdobyć na tę wysoką kulturę nerwów, która jest nieodzownym warunkiem pracy naukowej — kompromituje raczej atakujących, twierdzy krytyki naukowej zgoła nie naruszając.

Pozycja tej dyscypliny staje się natomiast nierównie słabsza, gdy opuszczając teren faktu zewnętrznego — zwraca się do faktu wewnętrznego. A faktem wewnętrznym jest, w odróżnieniu do kolei życiowych pisarza — jego twórczość.

Historja literatury jest z jednej strony zbiorem faktów zewnętrznych, dostępnych każdemu człowiekowi, a na których opanowanie trzeba tylko dobrej pamięci i systematyczności — z drugiej jest olbrzymim kompleksem procesów wysokiego gatunku, do których dostępu nie toruje zwykła „dobra pamięć" i porządek w myśleniu, lecz zdolność eksperymentowania psychologicznego — a to są rzeczy zupełnie różne. Dlatego to tak często się zdarza, że „naukowi" badacze literatury nie mieli nigdy z nią do czynienia, tylko z jej widomemi materjalnemi śladami.

Tu przychodzi nieszczęsna kwestja „wpływu". Jest to zagadnienie bardzo obszerne i w naszej literaturze, jeśli abstrahować od doskonałego studjum W. Borowego, niemal zupełnie zaniedbane. — Wiele jest aspektów tej kwestji, w wielu kierunkach mogą tu iść rozważania. Ale z poza tej sieci możliwości przegląda problemat zasadniczy: jakiego rodzaju fakt ma się na myśli, mówiąc, że w danym wypadku zaszedł „wpływ literacki". Jest to sprawa zasadnicza.— Sądząc z prac, które kwestją „wpływów" ze szczególną zajmują się gorliwością — zagadnienie sprowadza się ostatecznie do sprawy stwierdzenia podobieństw zewnętrznych między dwoma utworami pisarskiemi. Krytycy zajmują się bowiem zbieżnościami w fabule, w wyraźnych sformułowaniach ideologicznych. To na szczeblu niższem tego rodzaju krytyki. Inteligencja, a zwłaszcza erudycja badacza może sprawę niesłychanie urozmaicić i skomplikować, podobieństwa wykrywane mogą być bardzo odległe, z sukursem przyjdą żmudne dociekania językowe, badanie analogij w konstrukcji zdania, wiersza i t. p. — nie mniej obracamy się ciągle w sferze porównań między elementami formalnemi dzieł pisarskich. Powiedzą krytycy: znalezione podobieństwa w zestawienie z innemi danemi (np. wiadomościami o lekturze, którą pisarz odbył, jego znajomościach osobistych i t. p.) upoważniają nas do uznania owych podobieństw nie za przypadkowe, lecz za spowodowane działaniem określonego zewnętrznege czynnika i do wywnioskowania stąd, że mamy do czynienia z istotnym wpływem. — Ale nie zapominajmy o tem nigdy, wpływ w tym porządku rozważań jest faktem p s y c h o l o g i c z n y m (boć nie chodzi tu przecie krytykowi o jakieś pokrewieństwa sensów w znaczeniu Husserla), a jeśli tak, to stwierdzenie, że wpływ zaszedł, jest z a p o c z ą t k o w n i e m b a d a n i a, a nie jego zakończeniem. Wpływologja zdobyłaby mocną pozycję dopiero wówczs, kiedy stanęłaby otwarcie na gruncie psychologicznym i kiedy punkt ciężkości swych zadań przeniosłaby na odtworzenie przebiegów psychicznych, związanych z asymilowaniem przez umysł z zewnątrz poddanych treści i przerabianiem ich na dorobek własny. Nie wiem ilu z naszych krytyków naukowych mogłoby się tej pracy podjąć. — Aby ją wykonać trzebaby, korzystając z ogromnego bogactwa wiadomości o autorze, olbrzymiej erudycji i niepospolitej intuicji psychologicznej, przenieść się myślą w pewien okres życia pisarza i starać się odtworzyć w barwach lokalnych dramat twórczości zmagającej się z naciskiem z zewnątrz pochodzącym i ulegającej temu naciskowi. Dużą rolę w dociekaniach tego rodzaju odegrałyby badania nad typem wyobraźni pisarza, modyfikacjami tego typu przez skrzyżowanie się z typem odmiennym, analiza psychologiczna języka i t. p. Jeśli krytyka drogą tych badań nie idzie, to pozostanie wiecznie przy swoich nic nie mówiących i nikomu nie potrzebnych stwierdzeniach „wpływów" t. j faktów psychologicznych z założenia, rozważanych jednak poza wszelkim związkiem z psychologją. Niewątpliwie, wybitniejsi wpływologowie wkraczają w dziedzinę dociekań psychologicznych, ale czynią to raczej wyjątkowo, bez wyraźnego poczucia, że tu jest właściwa dziedzina ich pracy, a i tego rodzaju przypadkowe ekskursje nie są częste.

Krytyka naukowa dba o ścisłość, to znaczy stawia sobie jako cel najbliższy bezstronne przedstawienie poglądów i metod pracy badanego twórcy. A jeśli chodzi o ustalenie poglądów — to, rozumuje krytyk naukowy, cóż niezawodniej prowadzi do tego celu, jeśli nie pilne badanie tekstu. Pogląd ten jest skrótem następującego rozumowania: pisze się po to, aby wyrazić to, co się myśli i co się czuje; chcąc się dowiedzieć, co autor myśli i jak czuje, trzeba czytać jego dzieła — tam to jest zapisane. Jest to nadmierne uproszczanie sobie pracy: to, co uchodzi za program „oficjalny" danego pisarza jest często bardzo doryweczem jedynie wyolbrzymieniem i uogólnieniem jakiejś obserwacji czy nastroju, które w danej chwili zajęły całe pole myślowe — moc tu miejsca na suggestję i t. zw. „szukanie siebie", z którym to nałogiem winien liczyć się szczególnie krytyk, piszący o twórczości współczesnych autorów, uważających często owo „szukanie" w jego właśnie nieokreśloności i kapryśności za jedynie godne i „ciekawe" stanowisko. Jeśli zamiast iść śladem tych wszystkich krętych dróg — wybiera się cytaty, porządkuje je wedle treści i interpretuje wedle najlepszego choćby leksykonu — otrzymuje się w rezultacie etymologiczny obraz sensów, wybranych z tekstu pisarskiego, a bynajmniej nie pokrywający się z obrazem psychologicznym ani ideologicznym, który się miało zbadać. — Nawet pisarze najbardziej dojrzali nie wytrzymają tych barbarzyńskich manjer krytyków i wychodzą z kuchmistrzowskiego tygla jako maszkary, wyzute zupełnie z podobieństwa do żywych oryginałów; nawet tam, gdzie słowo nie wyprzedza i nie przekracza myśli, gdzie sprzęgło się z nią organicznie — nie wystarcza znajomość leksykonu do myślowego owładnięcia rzeczywistości artystycznej, przez pisarza stworzonej. Wchodzi tu bowiem w grę sprawa nadawania nowego życia słowu, które posiada tajemniczą moc odradzania się w ręku artysty, którego znaczenie indywidualne, co w nie tchnął pisarz, będzie zamknięte przed każdym, kto nie odbędzie wspólnej z twórcą drogi krętemi szlakami jego myśli. — Dzieje się też nierzadko tak, że tam gdzie autor przemawia najbardziej *ex cathedra*, gdzie najdobitniej formułuje swoje *credo*, tam właśnie jest najmniej sobą—fizjognomji jego trzeba szukać między wierszami, trzeba ją wykradać retoryce i frazesowi. Ale na to trzeba się oderwać od tekstu, trzeba mieć swobodę ruchów śród spiętrzeń watowanych straszydeł, trochę klinicznego oka, pomysłowości, domyślności. Aby zorjentować się w tym lesie zagadek, którym jest każda twórczość, wyśledzić wszystkie podstępy człowieka, walczącego o światopogląd, na to nie wystarcza rozumieć znaczenie poszczególnych wyrazów i zdań. Przykład Żeromskiego, który nigdy nie wiedział, jaki jest jego istotny stosunek do rzeczy o których pisze, którego cała struktura myślowa wisiała zawsze na włosku, wiecznie zależna od ostatniej przeczytanej książki, rozmowy z przyjacielem, jakiegoś sentymentalnego kaprysu, tego Żeromskiego, z którego robi się bez ceremonji herolda mocy polskiej — powinien być dla krytyki groźbą i ostrzeżeniem wiecznie żywem. Znakomita praca Wasilewskiego*) dostarcza w tej materji wielu pierwszorzędnych dowodów biograficznych. Równie łatwo możnaby z melancholijnego panicza, którym do końca życia pozostał Bararès, zrobić francuskiego Mussoliniego. Nie wątpię, że usłużni adoratorzy pisarza nie omieszkają tego uczynić.

Cytata jest bronią zwodniczą, jeśli nawet wyłączyć złą wolę cytującego, wyrażającą się w tendencyjnem ucinaniu cytat, wyrywaniu ich z kontekstu i t. p. Cytata sama przez się nie jest argumentem, jest zaledwie punktem wyjścia do rozważań. Ale, zapyta krytyk naukowy, jeśli cytata jest złą metodą, czemże ją zastą-

*) Z Wasilewski. Wspomnienia o Janie Kasprowiczu i Stefanie Żeromskim.

pić? Tysiącem innych sposobów, z których każdy stosuje się do innego wypadku i których katalogu nikt nie spisał. Tak samo jak sędzia śledczy używa tysiąca sposobów do wykrycia prawdy, zależnie od szczególnych okoliczności sprawy — tak samo krytyk ma tu broń jedyną w pomysłowości i giętkości umysłu, który z równą łatwością obraca się w różnych sferach rzeczywistości. Krytyk wtedy właśnie dobrze spełnia swe zadanie, kiedy rozporządza bogatą skalą środków inwestygacyjnych i stosuje je trafnie. Jedyną jego metodą jest przystosowanie właściwych środków badania do wypadku szczególnego.

Niewątpliwie wyrażony tu pogląd narażony jest na zarzuty pozornie bardzo efektowne.

Jeśli mamy ustalać poglądy pisarza nie na mocy tekstu, lecz jakichś innych środków zgóry nie przewidzianych, różnych w zależności od wypadków poszczególnych, powie krytyk naukowy, to otwieramy tu pole tak wielkiej dowolności, tak bardzo uzależniamy krytykę od sympatyj i antypatyj piszącego, od jego przekonań, upodobań, zawiści osobistych i humorów—że krytyka taką prowadzona metodą traci wszelką cechę objektywności, to jest przestaje być krytyką, a staje się improwizacją na temat literatury. Nie będąc skrępowani zależnością zewnętrzną, którą stanowi tekst, zawsze możemy tak zgrupować fakty, tak zestawić dane, że otrzymamy w rezultacie tę charakterystykę, która najbardziej dogadza naszemu stosunkowi osobistemu do pisarza, a nie tę, która jest odbiciem prawdy. Typowa obawa człowieka, pozbawionego nerwu psychologicznego. Każdy, kto jest choć trochę obserwatorem, kto odczuwa potrzebę badania duszy ludzkiej w jej głębokich przejawach—wie doskonale, że obserwacja psychologiczna ma swoją ścisłość, inaczej ta ścisłość wygląda, niż ścisłość matematyczna lub buchalteryjna, to prawda — ale jest. Skrzywić bezkarnie koncepcji psychologicznej tak samo niepodobna, jak niepodobna omylić się w kalkulacji matematycznej bez widocznego śladu w rezultacie wywodu. Fałszerstwo psychologiczne daje o sobie znać głosem bardzo mocnym i nie dopuści nigdy do spokojnego zamknięcia salda, zawsze „bokiem wylezie", manifestując się czy to w załamaniu, czy w mglistości i wieloznaczności zarysowującego się obrazu. Oczywiście, aby dostrzec te sygnały, ostrzegające przed niebezpieczeństwem, trzeba znać ich język i rozumieć, co mówią. Tekstomanja nigdy ich nie zauważy.

Jeśli nawet założyć, że na gruncie krytyki psychologicznej mogą zachodzić oszukaństwa—to jednak przyznać trzeba, że pojawienie się ich jest *a fortiori* możliwe w krytyce walczącej cytatami, przedewszystkiem dlatego, że tą drugą metodą łatwiej jest oszukiwać—wystarczy na to umieć czytać i znać słownikowo ustalone znaczenie słów. Nieufność do metody psychologicznej w krytyce podsycana jest przez ludzi, którzy nie mając zmysłu psychologicznego, wyobrażają sobie, że wytłumaczyć psychologicznie twórczość pisarską jest rzeczą równie łatwą, jak dowolną. Nie zdają sobie sprawy z tego, jak wiele doświadczenia i wiedzy trzeba zmobilizować, aby zbudować jakąkolwiek konstrukcję psychologiczną, nie wiedzą, jak bardzo upomina się o swoje krzywdy każda konstrukcja niedbała czy choćby podświadomie tendencyjna. Krytykowi, byle uczciwemu, nie da ona nigdy spokoju.

*

Walną zasługą krytyki, którą nazwałem profetyczną, jest to, że zrehabilitowała ona zagrzebany pod uczoną bibułą i tłumiony jako „dyletancki" i „nienaukowy"—naiwny stosunek krytyka do dzieła. Dzieło pisarskie stało się znowu czemś prawdziwem lub fałszywem, pięknem lub brzydkiem, ciekawem lub nudnem, pożytecznem lub szkodliwem. Jest to stosunek do dzieła, który obowiązuje wszystkich ludzi żywych, który umożliwia wogóle fakt twórczości i odbiorczości artystycznej. Ujęcie „czysto historyczne", które w najlepszych wypadkach sprowadza się (psychologicznie) do satysfakcji estetycznego przetrawienia rzeczy ubiegłych z sekretną a głęboką satysfakcją, która daje poczucie dystansu i nieaktualności — w gorszych (najczęstszych) sprowadza się do wyładowania ruchowej energji mózgu, nawykłego do ustawicznego przerzucania pojęć, nałogu niewiele szlachetniejszego, niż np. nałóg palenia tytoniu. Otóż krytyka profetyczna jest przeciw temu reakcją.

Szukając w literaturze przedewszystkiem prawd życiowych i postaw wobec rzeczywistości aktualnej, szukając ich nie z ciekawości kolekcjonera, lecz z temperamentu bojownika, widząc w nich nie materjał do rejestracji, lecz zarys czynu, zamierzenia, na które trzeba odpowiedzieć, bądź dobyciem broni, bądź podaniem ręki, tem samem występuje sama pod sztandarem jakiejś określonej koncepcji życiowej. A z tą koncepcją życiową naszych krytyko-proroków nie jest dobrze. Zwraca już uwagę i wzbudza podejrzliwość fakt, że krytyka profetyczna na kamieniu się u nas rodzi. Produkcja jej jest masowa. To się już u nas „robi", są już sposoby (nietrudne) zostania proroko-krytykiem. Historycznie najbliższym impulsem tego ruchu była twórczość Stanisława Brzozowskiego. Niezmiernie bogata indywidualność tego pisarza rzuciła masę myśli, zaprojektowała ogromną ilość postaw mniej lub więcej wykończonych; nasi prorocy z tego bogatego spadku wybrali sobie parę kawałków, które zawzięcie obrabiają i wcale umiejętnie nauczyli się już improwizować *à la* Brzozowski. Upodobali sobie zwłaszcza trzy motywy: patetycznego piękna pracy fizycznej, „odpowiedzialności" jednostki ludzkiej za rzeczywistość społeczną, której jest współtwórczynią, i motyw „zakłamania" tych wszystkich dziedzin życia, które stoją poza światem pracy. Wiemy dobrze, że u samego Brzozowskiego cały system jego myśli, osnuty na tych motywach, tworzył się w ścisłym związku z ruchem społeczno-filozoficznym, którego głównemi ośrodkami byli Sorel, Bergson, James, że dzieło kardynała Newmana odegrało wielką rolę w rozwoju myśli Brzozowskiego. Ale jakaż przepaść dzieli to niezmiernie głębokie, kosztowne i aż bolesne w swojej intensywności wżeranie się myślą we współczesną filozofję, przerabianie jej na swój dorobek, jak to obserwujemy u Brzozowskiego — z kokieterją profetyczną dzisiejszych krytyków, którzy oryginalność myśli Brzozowskiego, oryginalność niewątpliwą, mimo zależności od cudzych myśli — przerobili na kieszonkowy kodeksik, z którego czerpią gotowe wzory na „głębie", „witalność" i „swoistość". Zabawne jest zwłaszcza to ciągłe tropienie „zakłamania" wszędzie tam, gdzie tylko ich niema. Jest to z drugiej strony zrozumiałe: ktoś, kto tak odważnie mówi o kłamstwie, i wszędy je węszy—wydaje sobie świadectwo szczerości! Walka o szczerość jest rysem charakterystycznym krytyki profetycznej. Ale każda programowa walka o szczerość kończy się niepowodzeniem. I nie może być inaczej: szczerość nie jest żadnym celem konkretnym, jest pewnym stałym stosunkiem człowieka do rzeczywistości; zdobyć ten stosunek można jedynie drogą wewnętrznego eksperymentu, w czterech ścianach własnej duszy — wszelka twórczość może być owocem tej szczerości,

a nigdy jej przyczyną. W rezultacie zapisują ludzie całe szpalty temi przykremi zdaniami, z poza których wyziera zmęczenie wiecznie wykrygowanej i na szczudłach fałszywego patosu spacerującej krytyki, i stajemy wobec ogromu tych zdanek, które jednocześnie wzbudzaju litość i obrzydzenie, zdanek, które choć wychodzą z pod pióra żyjącego człowieka, nie należą do nikogo („*res nullius*“ w dziedzinie literatury). Masę obietnic, anemiczny rysunek myśli, która szuka jakiejś drogi—w rezultacie nudne i bardzo nadęte nieporozumienie. Wszystkie „ostatnie wielkie sam na sam z sobą, które trzeba przezwyciężyć aby móc żyć“, te „ostatnie strachy“ i „okrutne samości“, przykre eksperymenty krytyki profetycznej „zawdzięczamy“ temu prawu, że niema takiej dziedziny, której nie można by zbanalizować — Brzozowski może być tak samo dobrze użyty za szablon, jak cokolwiek innego. Wpadając w szablon, wytworzony na podłożu cudzej oryginalności — nie stajemy się przez to sami oryginalnymi... O oryginalności stanowi świeżość widzenia rzeczy, jej warunkiem psychologicznym jest ciągle odnawiany wysiłek, zmierzający ku zachowaniu niezależności i intensywności wzroku wewnętrznego, ku wynalezieniu tego punktu z niezliczonej ilości innych, z którego, jak powiedziałby Barrès, ukazują się rzeczy w bogactwie swoich proporcyj.

Aby określić pozycję życiową jakiejś konkretnej twórczości pisarskiej — trzeba zbadać jej mechanizm wewnętrzny. Zadania tego nie spełnia krytyka, uchodząca za naukową, która nam daje pracowicie komentowane wypisy — nie spełnia go jednak również krytyka profetyczna, ulegająca złudzeniu, że parę chwytów pseudo-filozoficznych, puszczonych mniej lub bardziej zręcznie w grę, zastąpić może mozolną pracę przenikania do wnętrza dzieł umysłu i serca ludzkiego.

Tej pracy nie zastąpi żaden manewr dyplomacji pisarskiej, żaden eksperyment stylistyczny, żaden talent aktorski — no i żadna niejasność...

Poznań JAN EMIL SKIWSKI

NIEBIESKI GOŚĆ

(*FRAGMENTY Z POEMATU O CHRYSTUSIE*)

I

Niektórych naszych grzechów silniej nienawidził—
niektóre nasze cnoty serdeczniej miłował.
Miana tych pierwszych mówił—jakby ich się brzydził,
miana tych drugich—jakby je słowem całował.

Mówiąc: „Fałsz“—usta święte z takiem obrzydzeniem
otwierał, jak chcąc wypluć ohydnego gada:
przymrużał oczy, jakby drżał, że z wymówieniem
tego słowa—zmierzch ciężki na słońce zapada...

A mówiąc: „Pycha“—wyraz, co jest najdosłowniej
imieniem czarta, całem z dymu i z płomienia,
parzył się, jakby usta przytknąwszy do głowni:
potem powietrze chwytał, jak dla ochłodzenia.

Za to mówiąc: „Pokora“, to anielskie słowo,
ręce w przestrzeń wyciągał, jakgdyby do Matki:
łzy Mu w oczach stawały, lśniły brylantowo,
wargi miękły—jak miękną, pieszcząc róży płatki.

A mowiąc: „Przebaczenie“—słowo Przebaczenie,
które nad wszystko kochał—cały się przemieniał:
...drżał, jakgdyby u ramion czuł Skrzydeł Szumienie,
...jak światłem przez szkło—Bogiem Przez Ciało Promieniał!...

II

Największym Twórcą nie był—za wieków mgławicą
tworząc ziemię i niebios wysokie sklepienie,
ale na świecie, płaską przechodząc ulicą,
kiedy stwarzał przedziwny swój cud: Rozgrzeszenie.

Bo czem jest obłąkany wiatr, wiatr szaropióry,
rozbierający ziemię, drąc na niej szat puchy—
wobec tej Nieprzytomnej Mistycznej Wichury,
co grzech z duszy obrywa, jak z drzewa liść suchy?

Bo czem jest ogień, który krwią żywą się pieni
i krwawym zębem wszystko rozgryza namiętnie—
wobec tych Bezbolesnych A Wściekłych Płomieni,
które mogą trąd z serca wypalić doszczętnie?

Bo czem są hałaśliwe, chciwe wodospady,
strugi dżdżu, co świat z barwy wywabiają wszędzie—
wobec tej Najsoczystszej Choć Cichej Kaskady,
co krew zbrodniarzom zmyje, że—śladu nie będzie?

III

Biednym: tym, których Życie w atłasy nie stroi
i dla których Śmierć chyba potrafi być szczodrą—
szył ubiory Z Królewskiej Barwnej Mowy Swojej,
której najdrapieżniejsze wichury nie podrą...

Chorym: tym, którym ludzie podają rąk końce,
a ust swych może wzbronić są nawet gotowi—
zapalał nad skroniami Ogromne Łask Słońce,
w którego białym blasku—w cień kryli się zdrowi...

Prostym: tym, którzy nawet wymówić nie mogą
imienia ciężkich, twardych, sztywnych Akademij—
okrywał pierś Szkarłatną Przyjaźni Swej Togą,
aż się musieli mędrcy oglądać za niemi...

Smutnym: tym, którym losy z pasją jakąś dziką
czarną nić wciąż motają na doli ich krosna—
napełniał słuch Obietnic Swych Rajską Muzyką,
aby do nich uśmiechnąć się mogli, jak wiosna...

IV

Lecz Niewinnej Radości nigdy nie odegnał,
gdy z rozwichrzonym włosem, z umajonem czołem,
przybiegała do Niego, prosząc by przeżegnał.— — —
Zasiadał nawet czasem, czasem za jej stołem.

Biesiadnicy, jak kwiaty posplatane gęsto,
wieńczyli biel obrusów wieńcem kolorowym:
głosy ich, nakształt ptaków, przefruwały często
nad stołem—walcząc z sobą w zgiełku coraz nowym!..

Szczękał kielich o kielich, wydając dźwięk wielki,
dźwięk czysty, dźwięk srebrzysty—krzykom na ochotę,
aż po śniegach obrusa—jak słońca kropelki
biegły kropelki wina—pachnące i złote.

Raz po raz powiał wicher śmiechu, śmiechu, śmiechu:
wstrząsnął koroną kwiatu lub płomieniem świecy—
raz po raz szept sąsiada—cichszy od oddechu—
odchylił z młodych zębów pons wargi kobiecej...

...On ucztował. Jak wszyscy. Jakby mogła zasnąć
na chwilę Jego Wielkość, gdy w zgiełk się zanurzy.
Tylko gdzie spojrzał—światła przestawały gasnąć
i odkwitała świeżość podeptanej róży.

ANNA SŁONCZYŃSKA

LIBERUM VETO

Ci sami w innem przebraniu. — Przesunięcie się oszczędności- Zabiedzona astronomja i utuczone fundusze dyspozycyjne. — Łowy w mętnej wodzie. — Kolumna zuchwałych miernot.

W CZASACH, kiedy rewolucjoniści byli kolumnami ataków a konserwatyści załogami twierdz władzy, zachodziła między nimi głęboka różnica nie tylko co do celów, ale również co do środków i sposobów postępowania. Pierwsi zarzucali drugim samowolę, bezprawie, gwałcenie swobód obywatelskich, wyzyskiwanie społeczeństwa nadmiernemi podatkami, marnotrawstwo skarbu publicznego, faworytyzm, bezkarne zbrodnie, tajemne tępienie przeciwników i inne niegodziwości, jakoby ściśle związane z rządami konserwatywnego despotyzmu a zupełnie obce i szczególnie nienawistne apostołom i rycerzom wolności. Obecnie ta różnica zupełnie zniknęła. Te same a niekiedy gorsze środki i metody działania widzimy po stronie „lewej“, po tej, która głosiła się najzapamiętalszą ich mścicielką. Wszystkie okrucieństwa Iwana Groźnego są skromnemi wybrykami wobec zezwierzęcenia oprawców bolszewickich, którzy mianują się pogromcami koronowanych tyranów. Mniej jaskrawy przerzut rozbestwienia i gwałtów widzimy w społeczeństwach o wyższej kulturze, ale wszędzie on się dokonał tak dalece, że ludziom istotnie miłującym prawość czynów nie pozostaje nic innego, jak stać na boku i przypatrywać się walce dwu złych sił, nie biorąc w niej żadnego udziału i czekać chwili, kiedy one wzajemnie się zniszczą, kiedy z zamąconego i błotnistego życia wydobędzie się jego nurt czysty. Nastąpi to zaś dopiero wtedy, kiedy ludzie przestaną walczyć o władzę, która jest dziś głównym celem i naczelnem hasłem wszystkich bojów polityczno-społecznych, a zaczną walczyć o ideały, o szlachetność pobudek i czynów. Do tego jednak daleko, bardzo daleko.

Nie pierwszy i zapewne nie ostatni raz w sejmie toczy się spór między stronnictwami zachowawczemi a radykalnemi o budżet. Pierwsze chciałyby posunąć oszczędność, a drugie rozrzutność do najdalszych granic. Jest to widok bardzo ciekawy i charakterystyczny. Zdawałoby się że obrońcy „starego porządku“, potrzebujący pieniędzy na rozmaite, tradycyjnie z nim związane cele zbytkowne i marnotrawcze, powinniby być przeciwnikami oszczędności, natomiast rycerze „nowego porządku“, wiedzący i głośno wykrzykujący, że skarb publiczny zasila się przeważnie ofiarami mas pracujących, powinniby zalecać skąpstwo i przyznawać rządowi tylko tyle, ile wymagają jego konieczne potrzeby. Tymczasem dzieje się wprost przeciwnie: tam wstrzemięźliwość, tu rozrzutność. Gdy rząd radykalno-republikański podnosi budżet w wydatkach o setki miljonów złotych, gdy na fundusze dyspozycyjne, na uposażenia osobiste, na pokrycie kosztów fantastycznego przenoszenia urzędników i oficerów z dotychczasowych miejsc w odległe okolice, na podróże, zasiłki, dary, gratyfikacje żądane są olbrzymie sumy, przyznają je, a nawet podwyższają patronowie „krwawej pracy ludu“. Potępione i napiętnowane hańbą dawne rabunki skarbu publicznego przez nieograniczone i niekontrolowane rządy samowładnych monarchów i ministrów, utrzymały się w demokratycznej republice z bardzo małą zmianą swych nazw, dróg i celów. W zbytkującej orgji radykalizmu, w jego łupieżczym szale zaledwie dosłyszeć można żałosne głosy potrzeb kulturalnych. Fundusz dyspozycyjny jakiegoś ministra ma pretensje do kilku miljonów złotych, a jednocześnie brak 20,000 złotych na kupno niezbędnego przyrządu astronomicznego dla obserwatorjum w stolicy. Za czasów niewoli, kiedy rząd rosyjski nie dbał o naukę polską a nawet ją tłumił, zrozumiałym był skromny lekarz Jędrzejewicz, który własnym kosztem urządził obserwatorjum w Płońsku, zaopatrzywszy je w teleskopy i spektroskopy. Zdawałoby się, że w niepodległej Polsce takie ofiary będą już zbyteczne, że państwo stworzy przynajmniej jedną hojnie uposażoną instytucję pierwszorzędnej wagi. Tymczasem ona znowu czekać musi na Jędrzejewiczów. Bardzo nam o to chodzi i na to nie żałujemy pieniędzy, ażeby nasi piłkarze, bramkarze, narciarze, „ekipiarze“ odznaczyli się w grach, skokach i wyścigach międzynarodowych, ale że astronomowie warszawscy na poddaszu pustego i martwego gmachu przy Ogrodzie Botanicznym wpatrują się w niebo przez lornetki teatralne lub przez trąbki zwiniętej ręki— to nas nie martwi i nie wstydzi. Rzuciliśmy w błoto agitacji wyborczej tyle pieniędzy, że za nie możnaby sprawić dla obserwatorjum teleskopy o półmetrowej średnicy soczewek — i jaki z tego pożytek? Dziwaczny i bezpłodny sejm ze sztucznym kręgosłupem. Niemcy wydali na ostatnie wybory 24 miljony marek— pociesza nieuleczalny manjak optymizmu. Ale ci niemcy mają wspaniałe obserwatorja i wszystkie instytucje naukowe bogato uposażone. Oni również tracą ogromne sumy na ten jeden z najgłupszych celów — na wydobycie „woli narodu“ zapomocą kłamstwa, oszustwa i przekupstwa, ale czynią to przynajmniej z pieniędzy zbywających od zaspokojenia najważniejszych potrzeb społecznych. Roi się w Europie od rozmaitych sportowców polskich, a prasa utrzymuje w natężeniu uwagę inteligentnego ogółu, śledzącego z niepokojem popisy naszych rąk i nóg na turniejach międzynarodowych, nasze zaś głowy są o tyle tylko przedmiotem publicznego zajęcia, o ile służą do odbijania piłki nożnej. To też gdy gdziekolwiek, chociażby na drugiej półkuli ziemi, odbywa się zlot sokołów sportu, pędzą z Polski liczne stada, ale gdy odbywa się zlot orłów nauki, nie wyfruwa od nas żaden, albo oskubani i zbiedzeni, budzący zwykle litość a rzadko podziw. Bo chodzimy po globie głowami na dół. Dawno już poeta radził:

Śpij sobie duszo, co ci do tego,
Że tam myśl czyjaś po niebie lata?

Główna rzecz: wygrywać „mecze“, zdobywać „bramki“, kłaść atletów „na obie łopatki“, przeskakiwać na koniach wysokie przeszkody, a jeżeli tam niekiedy zdarzy się w przestworzach nieba jakiś niespodziewany „incydent“ lub „konflikt“, to nie potrzebujemy się w to wtrącać, bo inni astronomowie łatwo go „zlikwidują“.

Słyszymy od tylu lat, ile istnieje niepodległa Polska, że znajdujemy się w okresie „przejściowym“, że jutro, pojutrze, najpóźniej za miesiąc lub rok nastąpi ustalenie się życia państwowego i społecznego. Powtarzały tę śpiewkę wszystkie ministerja a najgłośniej wykrzykiwali ją aż do ochrypnięcia sprawcy i zwolennicy zamachu majowego. Z tych wszystkich zapowiedzi a najsromotniej z ostatniej zrobiły się mydliny. Mamy znowu zamęt i to gorszy, niż którykolwiek z poprzednich. Jednym z najszkodliwszych produktów takiego stanu jest mnożący się i coraz zuchwalszy gatunek łowców w mętnej wodzie. Są to ludzie szerokiej gęby, przebierający swój nagi, bezwstydny i żarłoczny interes w pozory dbałości o do-

bro całego narodu lub jakiejś jego warstwy, wytwający licytacje kłamliwych haseł i giełdę fałszowanych akcyj szczęścia powszechnego, sztucznie podbijanych w kursie i obliczonych na łatwowierność tłumu. Przykro słyszeć ryk potężnej siły, szerzącej ślepą i niszczącą burzę, ale daleko wstrętniej słyszeć wrzaski bezczelnej miernoty, korzystającej z ogólnej niemocy i apatji, z braku kiełznającej ją potęgi. Przypatrzmy się uważnie, jacy to rycerze sięgają obecnie po buławy hetmańskie, jacy to wodzireje wdziewają togi trybunów ludu, jacy to pokątni doradcy występują w roli prawodawców. Całą tę czeredę należałoby zgarnąć i zapędzić do tłuczenia i sypania kamieni na drogi bite. Biedna Polska niepodległa mniej ma trudu z pokonaniem zewnętrznych wrogów, niż z otrząśnięciem domowego robactwa, które ją oblazło i żyje na jej ciele. Nie przyjdzie jej to łatwo, bo jest łagodna i cierpliwa, bo umie przez długie lata znosić dokuczliwości pasorzytów. Kiedyś p. Piłsudski miał się wyrazić, że go „oblazły wszy“. Te wszy wcale nie zmniejszyły się ani w liczbie, ani w żarłoczności, przeciwnie rozmnożyły się niepomiernie i teraz wysypują się jako naczelna kolumna.

ALEKSANDER ŚWIĘTOCHOWSKI

GŁOSY

TWÓRCZOŚĆ MŁODYCH

W OSTATNIM numerze „Tęczy“ znajdujemy interesujący artykuł p. Ryszarda Piestrzyńskiego p. t. „Młodzi“.

Autor stwierdza fakt, że „żyjemy w wieku młodzieży“, powołując się na opinję lorda Greya i ambasadora Juljusza Cambona, oraz dorzucając garść własnych spostrzeżeń. Mówiąc o przyczynach wzrastania roli młodych żywiołów w całej Europie, autor zaznacza:

„Są one wyrazem narodzin nowej epoki, nowego światopoglądu, nowych teoryj politycznych, nowych zapewne ustrojów społecznych i państwowych. U powstawania każdego wielkiego prądu ideowego stoi młodzież. Tak było zawsze i tak również jest teraz.

Przecież faszyzm — to rządy ludzi młodych. Mussolini nie miał czterdziestu lat, jak objął władzę, a dziś kierownik najtrudniejszego, bo jedynego na świecie ministerstwa korporacyj, podsekretarz stanu Bottai ma około 30 lat i wygląda na młodziutkiego studenta. Italja nie wyszła źle na tej „pajdokracji“, przeciwnie stała się atrakcyjnem centrum potężnego ruchu ideowego, rewolucyjnego w stosunku do dotychczasowych pojęć. Niewątpliwie we Włoszech uwydatnia się najlepiej spostrzeżenie, że w przełomowych chwilach powstania nowych koncepcyj dochodzą do głosu młodzi.“

Jakież są te nowe koncepcje? Wiemy, czem jest faszyzm. W interesującym artykule p. t. „Rewolucja Narodowa“ („Awangarda, miesięcznik młodych“) p. Zdzisław Stahl, jeden z kierowników ruchu młodych w Polsce, tak określa istotę włoskiego przełomu:

„Jest faszyzm... wspaniałym procesem wewnętrznego rewolucyjnego wyzwolenia narodu z obcych wpływów przez odrodzone, młode jego siły. To jest zasadnicze w roli faszyzmu, przez to jest on dźwignięciem się Włoch do mocarstwowej roli.

Walka z Niemcami i z uległością wobec Francji, zwalczenie wewnątrz kraju wpływów obcych,ześrodkowanych w lożach wolnomularskich i zgniecenie dawnej włoskiej masonerji, związanie się z kołami wypracowującemi od lat niezależną myśl narodową, z nacjonalizmem Corradiniego, wypowiedzenie niewolniczej służby jałowym hasłom 19 wieku i nawiązanie do wielkich tradycyj narodowych, wreszcie podniesienie twardo i jasno postulatów polityki włoskiej, własna twórczość w organizowaniu wewnętrznem państwa — oto wielkie i wyraźne znamiona narodowego charakteru faszyzmu, oryginalnych, niezapożyczonych cech tego włoskiego renesansu“.

Te same hasła narodowe porywają młodych i w innych krajach. We Francji bodaj większość młodzieży jest dziś narodowa, patrjotyczna, katolicka, słowem, jak ją nazywają radykałowie — reakcyjna. Znane jest również oblicze młodzieży niemieckiej. Niedawno w głosowaniu nad kwestją przyjęcia nowego, sprzecznego z ideą narodową ustroju „*Studentenschaftów*“, który chciał wprowadzić socjalistyczny minister oświaty Becker, projekt ministerjalny odrzucono 27.041 głosami przeciw 8.058 (77.1%), pomimo, że to odrzucenie projektu pociągało za sobą utratę przez „*Studentenschafty*“ przywilejów oficjalnych reprezentacyj młodzieży akademickiej.

Może nigdzie jednak przed Włochami nie ujawniło się tak jasno oblicze młodego pokolenia, jak w Polsce.

Przeminęły czasy przedwojenne, gdy akademik był liberałem lub socjalistą, obnosił dumnie swój ateizm i nieposzanowanie tradycji.

Dzisiaj w Polsce słowo „student“ oznacza w opinji radykałów — reakcjonistę. W Warszawie rok rocznie w dniu pierwszego maja, gdy pochód socjalistyczny, ciągnąc Krakowskim Przedmieściem przechodzi mimo Uniwersytetu, z szeregów jego wyrywają się przekleństwa, a ściśnięte pięści podnoszą się przeciw „gniazdu reakcji“. Wiadomo powszechnie, jakie było stanowisko młodzieży podczas ostatnich wyborów, wiadomo, po której stronie polegli studenci w maju 1926 r.

Stwierdza to ze smutkiem masońska „Epoka“ (artykuł „Młodzież polska po wojnie“):

„Jeżeli Komendant Piłsudski mógł zwyciężyć w walkach majowych a potem zwycięsko zdobywać w narodzie okopy zaufania i współpracy, to stało się wbrew większości młodzieży akademickiej, z oparciem zato o młodzież legjonową, a więc o pokolenie przedwojenne, dzisiaj stojące przy sterze“.

A na to odpowiada „Akademik Polski“, organ narodowy wyższych uczelni warszawskich (art. „Opinje tych, którzy przegrali“ № 4—5 z dnia 10 b. m.).

„Jeżeli do władzy w Polsce doszedł dziś obóz Aszkenazego i Handelsmanna, to dlatego, że obóz ten potrafił swojego czasu przez romantyzm legjonów Piłsudskiego, a jeszcze wcześniej strajk szkolny i popularne hasła patrjotyczne odebrać obozowi narodowemu całe pokolenie młodzieży. Ta ówczesna młodzież dziś jest w wieku lat czterdziestu paru, w wieku, w którym dane pokolenie obejmuje rządy. I rządy te objęło wbrew starszym, którzy nie byli w możności przystosować się do zmienionych warunków.

Ale nie trzeba zapominać, że ten obóz rządzący starzeje się w gwałtownem tempie, że filistrzeje w sposób niesłychany i że sam wkrótce usłyszy od następnego pokolenia: „*ôte — toi pour que je m'y mette*“.

Rzeczywiście w obozie rządzącym panuje dziś poważne zaniepokojenie tym żywiołowym i silnym ruchem młodych, który wypowiada walkę ideologji i organizacji masońskiej. Ruch ten wyszedł już poza ramy uniwersyteckie, fala narodowo myślącej młodzieży przelewa się rok rocznie z murów wyższych uczelni na teren życia społecznego i narodowego. Pewne jest, iż nie wsiąknie ona bez śladu, ale wyżłobi w dziejowem życiu Polski nowe drogi.

S. K.

ODPOWIEDZIALNOŚĆ ZA WOJSKO

DWUTYGODNIK poświęcony sprawom obrony państwa, „Szaniec“, w ostatnim zeszycie z 1 czerwca porusza sprawę, będącą „zagadnieniem zdrowia lub rozkładu, życia lub śmierci siły zbrojnej każdego państwa“. Czytamy tam:

„Różnie mogą być ukonstytuowane naczelne władze wojskowe. Pamiętamy u nas projekty ustawy o ich organizacji, które tyle walk wywołały. Pamiętamy projekt gen. Sikorskiego, dostosowany do ustroju Polski jako rzeczypospolitej parlamentarnej. Mamy dziś dekret Pana Prezydenta Rzeczypospolitej, odmiennie rozwiązujący sprawę, a dostosowany do faktycznego ustroju państwa w okresie po przewrocie majowym. Nie wdajemy się tu w dyskusję, co lepsze i jak ukonstytuować władze naczelne. Idzie o to, że jakakolwiek jest organizacja władz wojskowych, jakakolwiek budowa hierarchiczna, zawsze w ramach, legalnie przewidzianych, muszą rzeczywiście istnieć i rzeczywiście działać władze, ukonstytuowane legalnie, na każdym szczeblu wyposażone w autorytet i zaufanie, i one tylko mogą być istotną władzą.

„W ciągu całego swego wojskowego życia marszałek Piłsudski walczył o tę właśnie wielką zasadę odpowiedzialności jednostkowej, o realność dowodzenia i o pełnię autorytetu dowódcy. W myśl tej zasady zwalczał on u nas zacięcie instytucję Sztabu Generalnego, pojętego jako korporacja zamknięta i hierarchiczna, swą fachowością, dyscypliną i solidarnością wyręczająca i degradująca nominalnych dowódców. Zwalczając zaś koncepcję roli kierowniczej tego czynnika nieodpowiedzialnego, tembardziej napewno wykluczał możliwość, by w miejsce czynnika bądź co bądź kompetentnego, wyszkolonego, doświadczonego, jawnego i legalnego, jak sztaby generalne, podstawiać się miał raczej czynnik jakiś odmienny, jakaś korporacja polityczna, niefachowa, niejawna, nielegalna, tem samem zaś stokroć bardziej rozkładowo działająca na rzeczywistą dyscyplinę wojska.

„Środkami policji tajnej, czy sprawowanej przez jakąś „defensywę“ oficjalną, czy przez organizację prywatną, podejmującą jej zadania, możnaby trzymać wojsko w karbach, możnaby szerzyć postrach wśród jego dowódców i oficerów, eliminować ludzi o karkach sztywnych, urabiać elastyczność innych karków i innych sumień, możnaby rządzić. Możnaby nawet takiem wojskiem skutecznie wspierać policję, utrzymując na wewnątrz rząd, na bagnetach oparty. Ale takiemi środkami niepodobna wojska wychowywać do wojny, która potrzebuje ludzi śmiałych, nawykłych brać na się odpowiedzialność, dowódców w całej pełni, nie figurantów ani narzędzi, dowódców nie nauczonych drżeć przed tajną kwalifikacją konfidenta. Wojskiem rządzonem przez „Gławnoje Politiczeskoje Uprawlenje“ niepodobna wojować z szansą zwycięstwa. Tu leży oczywista słabość naszego wschodniego sąsiada pod względem strategicznym, przy pozorach jenolitości i wewnętrznej siły „robotniczej komunistycznej czerdwonej armji“.

„Na straży wojska naszego przed podobnemi niebezpieczeństwami stoją niewątpliwie ludzie odpowiedzialni w myśl konstytucji; stoi też czynnik najwyższy, wolny od odpowiedzialności przed sejmem, tem większą dźwigający historyczną odpowiedzialność, Najwyższy Zwierzchnik Wojskowy, p. Prezydent Rzeczypospolitej, ku któremu z ufnością zwracają się we wszelkich trudnych okolicznościach oczy wojska“.

PRZEGLĄD POLITYCZNY

Dyskusja nad budżetem. — Łaska Prezydenta i wymiar sprawiedliwości. — Sprawa uposażeń urzędniczych. — Sukces p. Waldemarasa.

PUNKT ciężkości zainteresowań opinji publicznej przeniósł się do Sejmu, gdzie toczy się dyskusja nad budżetem, a w związku z tem nad całokształtem polityki państwowej. Gruntownej, rzeczowej krytyce poddali politykę rządu przedstawiciele Klubu Narodowego: w dziedzinie gospodarczej (pos. prof. Rybarski), w dziedzinie polityki zagranicznej (pos. prof. Winiarski) i wewnętrznej (pos. Wierczak), w dziedzinie oświaty (pos. Kornecki), wojskowości (pos. prof. Dąbrowski), wymiaru sprawiedliwości (pos. Trąmpczyński). Sensacyjne bywały niekiedy oświadczenia przedstawicieli rządu. Tak np. wiceminister spraw wojskowych, gen. Konarzewski, poruszając sprawę zaginięcia gen. Zagórskiego, powiedział:

„W sprawie gen. Zagórskiego te różne przypuszczenia nie opierają się na żadnych pozytywnych danych, może na babskich plotkach. Sąd wojskowy prowadził dochodzenie, wzywał świadków, narazie sprawa jest w zawieszeniu, aż do otrzymania nowych danych... albo też do ujęcia gen. Zagórskiego czy stawienia się jego do sądu“.

Podczas dyskusji nad budżetem ministerstwa sprawiedliwości, rewelacyjnie wprost brzmiało oświadczenie ministra Meysztowicza:

„Co do sprawy p. Stpiczyńskiego, to prosił on o łączny wyrok, a następnie odwołał się do łaski Prezydenta i p. Prezydent raczył go ułaskawić na mocy art. 47 Konstytucji“.

Gdy zaś mowa o wymiarze sprawiedliwości, warto przytoczyć interesujący dokument w sprawie napadu na red. Mostowicza, odczytany w Sejmie przez pos. Trąmpczyńskiego:

„Świadkami napadu na red. Mostowicza byli dwaj akademicy... Sprowadzeni do Komendy Głównej (Policji, przyp.) poznali natychmiast, że autentycznem autem, którem dokonano napadu, było auto systemu Buick Głównego Komendanta Policji Państwowej, pułk. Maleszewskiego. Dalsze badania prokuratorskie ustaliły, że autem tem istotnie porwano red. Mostowicza. Autem kierował przodownik Sikora, który zeznał, że jeździł na polecenie porucznika przydzielonego z Komendy miasta do ministerstwa spraw wewnętrznych. Badany porucznik zeznał, że jeździł w sprawie „honorowej“, dalszych wyjaśnień odmówił“.

Od dłuższego czasu aktualną jest sprawa podwyższenia uposażeń urzędników państwowych, właściwie zaś doprowadzenia tych uposażeń do norm poprzednich, z uwzględnieniem wzrostu drożyzny w ciągu ostatniego dwulecia. Jak wiadomo, rząd uzależnił przeprowadzenie tej reformy od uchwalenia przez Izby prawodawcze nowych ustaw podatkowych, które Sejm odrazu w pierwszem czytaniu odrzucił. To stanowisko rządu wywołało widoczne rozgoryczenie w świecie urzędniczym, czego dowodem jest choćby następująca rezolucja, uchwalona jednomyślnie na wiecu, zwołanym przez Centralną Komisję Porozumiewawczą Związków Zawodowych Pracowników Państwowych:

„Pracownicy państwowi, zebrani w dniu 3 czerwca na wiecu w sali cyrku w Warszawie, zakładają stanowczy i zdecydowany protest przeciwko stanowisku obecnego rządu, który od 2 lat łudzi pracowników obietnicami regulacji płac, uzależniając ją od coraz to innych okoliczności i oznaczając coraz to inne terminy, których jednak nie dotrzymuje...

Pracownicy protestują stanowczo przeciwko uzależnieniu podwyżki swoich płac od uchwalenia nowych podatków, uważając, iż poniża to godność pracowników i może stać się powodem nienawiści pomiędzy poszczególnemi warstwami społeczeństwa“.

Klub Narodowy od początku stał na stanowisku, iż wiązanie uposażeń urzędniczych ze sprawą nowych podatków nie jest rzeczą właściwą, stwierdzał pozatem, że podwyższenie pensyj pracowników państwowych bez naruszania równowagi budżetu jest najzupełniej możliwe, o ile w budżecie przeprowadzone zostaną odpowiednie oszczędności. W tym celu też Klub Narodowy zgłosił w komisji budżetowej Sejmu kilkaset wniosków „oszczędnościowych“, które w razie ich uchwalenia doprowadziłyby do nadwyżki dochodów nad wydatkami w sumie zgórą 200 miljonów złotych, a zatem najzupełniej wystarczającej dla podwyższenia płac pracowników państwowych o 25%.

Dyskusja budżetowa w Sejmie i z tego powodu była nader interesująca i znamienna, że posłowie Bezpartyjnego Bloku Współpracy z Rządem wyjawili w niej wyraźną całkiem niechęć do jakiejkolwiek głębiej sięgającej naprawy ustroju Państwa. Poseł Sławek wyparł się uroczyście „faszyzmu“ oraz zamiarów zmiany obecnego prawa wyborczego, poseł Radziwiłł ograniczył się do wychwalania „oświeconej demokracji“, zaś

generalny referent budżetu z ramienia B. B., pos. prof. Krzyżanowski oświadczył wprost: „Zasada demokracji parlamentarnej... jest przezemnie podzielana“. Podczas obecnej dyskusji budżetowej jedynie prezes Klubu Narodowego, poseł prof. Roman Rybarski nakreślił szerzej pomyślany program reformy Konstytucji.

Na ostatniem posiedzeniu Rady Ligi Narodów przyjęto rezolucję, odraczającą sprawę sporu polsko-litewskiego do jesieni. Taktyka odwlekania, stosowana od początku przez p. Waldemarasa, uwieńczona została w ten sposób pełnem powodzeniem, tembardziej nieusprawiedliwionem, że wskutek ogłoszenia Wilna jako swej stolicy, Litwa najwyraźniej złamała zobowiązania, wynikające z art. 10 Paktu Ligi, w którym członkowie Ligi zobowiązują się wzajemnie szanować nietykalność swych terytorjów.

J. R.

NAUKA I LITERATURA

POLSKA HISTORJA LITERATURY ANGIELSKIEJ

ODROBIONA została wreszcie (przynajmniej częściowo) zdawna czekająca swojej kolei zaległość: ukazało się pierwsze na większą skalę zakrojone dzieło polskie, obrazujące dzieje literatury angielskiej. Profesor Władysław Tarnawski wydał oto przed niedawnym czasem „Historji literatury angielskiej“ tom pierwszy, obejmujący okres od czasów najdawniejszych aż do roku mniej więcej 1660, zamknięty charakterystyką twórczości Miltona i Drydena. Okres iście merlinowski pod względem fantastyczności przemian, zachodzących w życiu narodu angielskiego, bo w ramach jego przekształcają się wszystkie najistotniejsze elementy tego życia: język, charakter narodowy, instytucje polityczne, nawet religja, nawet materjał rasowy, z którego wyrasta typ psychiczny i fizyczny Anglika... Jednocześnie wszystkie te niezwykłe perypetje odbijają się w dziejach literatury. I tu ciągłość się zrywa: aż do czasu najazdu normandzko-francuskiego pisana ta literatura w języku angielskim, którego pierwiastki przygłuszone są w dalszym rozwoju przez wpływy francuskie, aż wreszcie ze spławu tych elementów powstaje mowa, zbliżona do angielszczyzny dzisiejszej — i mniej więcej od połowy w. XVI zaczyna się okres literatury nowoangielskiej. Ale ciągłość rozwoju wskutek walk w dziedzinie społecznej, politycznej i kościeńno-religijnej rwie się jeszcze przez wiek cały tak okrutnie, że dopiero od czasu wytępienia katolicyzmu i niepodzielnego zapanowania cywilizacji protestanckiej (o typie coprawda kompromisowym) dzieje narodu angielskiego toczą się, przynajmniej od w. XVIII począwszy, równo i gładko torem rozwoju ewolucyjnego, a ciągłość ta, zachowana przez ostatnich lat dwieście podczas burz dziejowych, wstrząsających posadami państw europejskich na kontynencie, przyzwyczaja opinję do uważania Anglji za ostoję tradycji, siedzibę geujusza ewolucji, i kraj klasyczny zmian łagodnych, stopniowych. Tak krótki okres czasu wystarczył na ustalenie tej wyjątkowej reputacji... Ale tę jednolitość wewnętrzną dziejów najświeższych zdobyła Anglja kosztem rozerwania swojej historji na dwoje, kosztem datowania jej właściwie od czasów reformacji. Najistotniejszem znamieniem psychiki angielskiej jest wciąż jeszcze podtrzymywana ideologją germanizmu niechęć do wszystkiego, co reprezentuje bogatą tradycję rzymską, a zwłaszcza katolicką w cywilizacji angielskiej. Ale ta niechęć do wielkiego okresu własnych dziejów nie wytrzymuje krytyki głębiej pojętego tradycjonalizmu i patrjotyzmu, to też do najżywotniejszych dziś w Anglji zagadnień należy kwestja wartości cywilizacyjnych katolickiego okresu dziejów Wielkiej Brytanji, kwestja rewizji poglądów na podrzędną, według utartego zdania krytyki oficjalnej, epokę historji narodowej. Stąd też i fenomeny literackie tej epoki oraz następnego okresu przejściowego szczególnie są ciekawe i ważne dla poznania dziejów duszy społeczeństwa angielskiego. A i tak, z ciaśniejszego stanowiska zainteresowań formalno-literackich, czasy, omawiane w pierwszym tomie dzieła prof. Tarnawskiego, wyróżniają się zjawiskami literackiemi niezwyczajnego blasku. Dość wspomnieć tylke najznakomitsze imiona: Chaucera, Spensera, Fr. Bacona, Marlowe'a, Szekspira, Miltona. Drydena...

Po raz pierwszy, jak wspomnieliśmy, traktuje o nich praca polskiego uczonego, sumienna, gruntowna, oparta o rozległe samodzielne badania i uwzględniająca stan dzisiejszej wiedzy o przedmiocie. Mieliśmy już wprawdzie publikacje, niby to traktujące o tej samej dziedzinie (jak np. szkicowa praca Marji Rakowskiej) — ale niestety, uwydatniały one li tylko, zamiast zapełnić, — dotychczasową lukę. Nawet rzecz z tego zakresu w całej Europie najpoczytniejsza, dzieło Taine'a, nam przyswojone także nie byle piórem, bo Elizy Orzeszkowej, nie zostało w polskiej edycji w całości ogłoszone. To też książce prof. Tarnawskiego ucieszą się nietylko angliści; naturalniejsza bodaj, by pierwsi przywitali ją z entuzjazmem miłośnicy kultury ojczystej.

Tak, bo wypracowując własny, niezależny pogląd na kultury obce, zwłaszcza najbogatsze i najwspanialej rozwinięte, kompletujemy przedewszystkiem kulturę własną. Jest to wielki urok i sekret atrakcyjności kultur takich, jek francuska, angielska, niemiecka, że stając w obrębie którejkolwiek z nich, tem samem już rozejrzeć się można po całym świecie. Każda z nich, to gotowy, względnie jednolity system wiedzy o świecie. Takich wielkich, bliskich kompletności systemów jest niewiele, lecz to pewna, że naród, aspirujący do stanowiska mocarstwowego, musi także w pewnym zakresie zdobyć sobie system wiedzy o świecie na własny użytek. Musi ją mieć własną, skoro posiada własną, o pewnych cechach odrębnych cywilizację narodową, własne zainteresowania, własną logikę.

Powiększając zaś w ten sposób swój dorobek kulturalny, rozszerza jednocześnie sferę promieniowania nazewnątrz. Pomyślmy, jak dalece zastąpić mogłaby Polska dla kultur słowiańskich środkowo-europejskich nieodzownego dziś dla nich przewodnika i profesora niemieckiego, gdyby więcej ukazywało się u nas książek tego typu, co omawiany podręcznik prof. Tarnawskiego...

Punktem wyjścia do oceny wartośei tej książki nie może być samo skonstatowanie erudycji autora, choć oczywiście znajomość gruntowna przedmiotu—to wstępny warunek wszelkiego opracowania samodzielnego. Pod tym względem wykazał się prof. Tarnawski kwalifikacjami imponującemi. Niema, rzecz prosta, mowy o tem, by można było ogarnąć świat tak wielki, jak literatura angielska (czy np. polska) w bezliku wszystkich jego zjawisk, ale też rzecz to niemal tak samo niepotrzebna, jak niemożliwa. Chodzi głównie o wybór stosowny, o samodzielne zgłębienie utworów najważniejszyeh, najbardziej z tego czy innego względu reprezentatywnych. Zasób utworów tych kategoryj, i tak przytłaczająco ogromny, poznał i przestudjował prof. Tarnawski z lektury własnej, ta zaś autentyczność stosunku do ciekawszych fenomenów angielskiego piśmiennictwa nietylko odpowiada wymogowi sumienności naukowej, lecz także przydaje wdzięku relacjom i opisom. Przebija w doborze cytatów, w zaznaczeniu miejsc, interesujących

specjalnie czytelnika polskiego. Gdzie wypadało zdawać sprawę podług gotowych opracowań, tam autor korzystał przedewszytkiem z podstawowej *Cambridge History of English Literature*, a obok tego z Langa, Courtkopse'a i innych powag. Zbędna dodawać, że wogóle wszystkie rozdziały swej książki pisał, mając na oku najważniejsze dzieła historyczno-literackie, dotyczące odnośnych dziedzin.

Co zaś wzmacnia jeszcze pozycję naszego anglisty, to niewątpliwe umiłowanie swojej rzeczy. Sama oschła znajomość literatury, choćby najgruntowniejsza, nie poradzi tu sobie z całym szeregiem zagadnień, jeśli sympatja do zjawiska literackiego, bez której niemasz dobrego krytyka, nie przyjdzie z pomocą i nie zaostrzy wnikliwości badacza.

Ale wszystko to, jak powiedzieliśmy, są tylko warunki wstępne. Do zadośćuczynienia im trzeba pracowitości i talentu — ale obie te rzeczy bynajmniej nie wystarczają. Przeciwnie, gdy chodzi o tak fascynujący przedmiot, jak literatura angielska, raczej obawiać się należy, iż krytyk da się zbytnio ponieść sympatji, niźli zgrzeszy jej brakiem; że w zapale dla swojej rzeczy straci grunt cywilizacji ojczystej pod nogami i w rezultacie da pracę, będącą li tylko słabem odbiciem poglądów angielskich, niesamodzielną intelektualnie i moralnie, ostatecznie, ze stanowiska wyższych kryterjów, bezwartościową.

Otóż dzieło prof. Tarnawskiego zjednywa sobie od pierwszej chwili czytelnika wyraźnym do tego kapitalnego zagadnienia stosunkiem. Ambicją lwowskiego anglisty jest spojrzeć na piśmiennictwo angielskie oczyma Polaka. „Nigdy" — czytamy w przedmowie — „nie wzdragałem się przed wypowiedzeniem poglądów odmiennych, niż utarte pośród angielskich krytyków literatury. Moje stanowisko jest stanowiskiem cudzoziemca". Wykład Polaka, — a w tem leży, ma się rozumieć, nietylko intencja uwydatnienia powierzchownych związków czy podobieństw między literaturą polską i angielską, lecz także zamiar przedstawienia istotnych pokrewieństw czy kontrastów ze swobodą i pogłębieniem sądu, jaki daje autorowi przynależność do cywilizacji polskiej.

Niemniej i przypadkowe nawet asocjacje polskie same już mile zdobią poważny tok wykładu: Chancer: „znacznie wyprzedził swój wiek, i jak najwyższe szczyty tatrzańskie leżą poza głównem pasmem — stoi nieco na uboczu" (s. 57)..... „Pap with a Hatchet" znaczy: „Papka na toporze — przysłowiowe wyrażenie angielskie: „podawać dziecku papkę na toporze" przypomina słowa Kmicica „Naści piesku kiełbaski", wypowiedziane, gdy wsadzał swą kiszkę z prochem w gardziel szwedzkiej kolubryny" (s. 182)..... Szekspir dzielił poglądy swojej epoki — „Nie mogło być inaczej. Czyż można od gleby podolskiej żądać, żeby rodzila palmy i banany?" — i t. p.

Częściej, ma się rozumieć, wplata autor zestawienia, mające uwydatnić zbieżności czy analogje historyczno-literackie. Powie np., że „treść „Kalendarza" (spenserowskiego) nie zachwyca ani głębokością, ani oryginalnością, a porównanie z Szymonowiczem musiałoby pod tym względem wypaść na niekorzyść Anglika, u którego nie znajdzie połowy szczerości i prostoty Polaka" (s. 175), albo przytoczy czyjąś opinję, że „Rada" z „Pana Tadeusza" więcej artystycznie warta, niż narada szatanów z „Raju Utraconego" Miltona, i zawoła z humorem: „Może ściągną na siebie zarzut szowinistycznego zaślepienia, ale dzielę to zapatrywanie" (s. 484). Zareferuje, że w Anglji postaci Geofrey'a znalazły fanatyków swej autentyczności — „jak u nas ośmieszone przez Naruszewicza „Wandy i Lechy" i t. d. i t. d. — A poza tem wszystkiem nie zaniedbuje sposobności, aby zacytować czasem dodatkowo jakąś wzmiankę o Polsce ze starego dramatu, kroniki, czy pamfletu.

Przebywając dzieje angielskie szlakiem literatury, nie powściąga autor-podróżnik swoich odruchów moralnych Referując np. dzieło Foe'a, poświęcone martyrologji protestanckiej za Marji Tudor, napisze: „Najgorliwszy katolik nie oprze się wzruszeniu, czytając o śmierci Latimera i Ridley'a, a w prostych słowach, włożonych w usta pierwszemu: „Teraz zabawmy się w mężów, mości Ridley, i zaświećmy ogień, co rozjaśni całą Anglję!" znajdzie klucz do zrozumienia wieków historji brytańskiej" (s. 234) — A nie waha się też z wypowiedzeniem, gdy okazja po temu się zdarzy, także sądów w sprawach (w najogólniejszem znaczeniu) politycznych. A więc zdanie Bacona: „Niech żaden naród nie spodziewa się być wielkim, jeżeli nie jest czujny na każdą przyczynę do zbrojeń" — opatrzy komentarzem: „To zdanie do dziś dnia ma w sobie więcej prawdy, niż cała Liga Narodów" (s. 248). — Rolę zaś Szekspira, jako duchowego łącznika między Anglją i Niemcami, tak oświetli: „Szekspir stał się mostem, łączącym oba narody i gdyby nie on, społeczeństwo angielskie byłoby z pewnością w naszych czasach reagowało na filogermańską politykę swych mężów stanu, niewątpliwie fatalną dla państwa" (s. 360).

Pomimo wszystko, nie postawił sobie jednak prof. Tarnowski za cel ukazania historji literatury na tle cywilizacji angielskiej wogóle i nie obchodzi go właściwie sprawa związku między jednem a drugiem. Maluje tło historyczno-obyczajowe, ale tylko najbliższe danej postaci, nie sili się natomiast wskazać na rysy duszy zbiorowej angielskiej w danym okresie zasadnicze, nie uwydatnia wielkich linij rozwojowych charakteru angielskiego politycznego i religijnego. Wskutek tego to, co podaje z tła historyczno-obyczajowego, włączone jest poniekąd przypadkowo. Dowiadujemy się np., że Tomasz More dowcipkował nawet na szafocie, a nie dowiemy się, że ten skazaniec należy do największych postaci w poczcie angielskich męczenników za sprawę katolicyzmu.—Opowiada autor np. historję kryzy, ale całkowicie pomija dzieje instytucyj publiczno- i prywatnoprawnych. — Oczywiście trzeba tu mieć na uwadze trudności pioniera, który po raz pierwszy podejmuje przedstawienie hist. lit. ang. ku pożytkowi czytelników polskich i na tem polu nie ma jeszcze poprzedników.

Pozwolimy tu sobie jednak zwrócić uwagę na pewien szczegół. Autor poszedł za utartem mniemaniem pewnej kategorji historyków, przedstawiając panowanie Elżbiety, jako okres „względnej tolerancji religijnej". Z wszelką, zdaje się, pewnością można przyjąć, iż właśnie panowanie to zadało cios śmiertelny katolicyzmowi w Anglji. Co warte skonstatowanie, że „całe panowanie Elżbiety upłynęło prawie bez wyroków śmierci za wiarę" (s. 150), skoro, jak stwierdza ultraprotestancki historyk Grecu, „nas współczesnych bardziej od jawnego prześladowania oburza polityka, która każdego duchownego katolickiego piętnowała, jako zdrajcę..." (I, 386, H. Un. L.). Ksiądz z samego prawa uważany był podówczas za zdrajcę i karany śmiercią. System ten, stosowany „z bezlitosną energją" przez lat 40, zrobił swoje.

Z punktu widzenia czysto prawniczego taki Campian nie za wiarę swoją położył zdrowie, ale dziś trudniej nam przejąć się tem kryterjum prawniczem, niż słowami Skargi, który tłumaczył Campiana i pod wrażeniem prześladowań w Anglji wołał jeszcze za życia Elżbiety: „A czas twój przyjdzie, nieszczęśliwa okrutnico, którego krwie tej niewinnej przypłacisz, a wyroki Boskie i Kościelne na tobie się iścić muszą. A ty Anglja ze krwi

tej męczeńskiej powstać masz, a próżna nie będzie tak droga śmierć dobrych synów twoich, gdy ci źli albo się nawrócą, albo je Bóg wytraci".—

Kładąc główny nacisk na "opis" samych utworów literackich, hojnie szafował autor streszczeniami. Można wątpić, czy metoda ta prowadzi do celu, bo o czem daje czytelnikowi pojęcie? Czy o wartości artystycznej utworu? Tej sam szkielet fabuły nawet przeczuwać nie daje. O znaczeniu historycznem pewnych motywów? Ależ tutaj o wiele lepiej odpowie zadaniu jakaś synteza tyczna. Metodę streszczeń uprawia autor ze względu na brak oczytania naszych sfer wykształconych w literaturze angielskiej, zwłaszcza starszej—ale wolno mniemać, że nieoczytanym więcej przydałoby właśnie się syntezy i uogólnienia. Tą ostatnią drogą poszli w metodzie wykładu autorzy francuscy Legonis i Caramlan, a podręcznik ich z pewnością nie stracił na tem.

Notujemy te uwagi á propos tomu I — lecz oczekiwać można już w niedługim czasie ukazania się tomu II. Czy w nim doprowadzi autor opowieść swą do końca, czy rozmierzy ją jeszcze na tom III — nie wiemy. To pewne, że już ten pierwszy tom jest pozycją ważką w naszej literaturze naukowej lat ostatnich.

W. J. C.

Z RUCHU WYDAWNICZEGO

Prof. Kazimierz Wóycicki rozpoczął prawidłowe studja nad okresem pozytywizmu w Polsce. Zamierzył mianowicie w pięciu tomach wydać ważniejsze materjały do historji literatury w tej epoce. Pracy swej dał tytuł: „Walka na Parnasie i o Parnas. Materjały i opracowania do dziejów pozytywizmu polskiego". Nakład Gebethnera i Wolffa. Wyszła obecnie część I, tego dzieła, poświęcona Walce z epigonizmem (s. 234). Następne tomy zajmie: 2) Walka o hasła i programy w publicystyce 3) Tyraljerka pozytywistyczna, 4) Hejże na Soplicę! (walka o romantyzm).

Wydawnictwo prof. Wójcickiego przyczyni się do ożywienia prac nad pozytywizmem, bardzo opóźnionych. Dotychczas najgruntowniejszem opracowaniem tego okresu były dzieje literatury najnowszej Piotra Chmielowskiego, a potem Zygm. Szwejkowskiego monografja o „Lalce" Prusa. Materjały, wydobyte w t. I, z prasy przeważnie, przez Wóycickiego, obejmują walkę z wierszoklectwem od r. 1852 (głos Szajnochy) do r. 1880. Oczekujemy z upragnieniem dalszych tomów.

*

Piękną książką są „Dwie wiosny" Jana Parandowskiego (wydane przez „Ossolineum"). Wytworny stylista autor „Mitologji" i „Erosa na Olimpie", świetny tłumacz „Dafnisa i Chloi", dał tu jeszcze raz wyraz swemu umiłowaniu klasycznego piękna. Na książkę złożyły się fejletony, drukowane najpierw w „Kurjerze Poznańskim", a powstałe na tle wrażeń doznanych przez autora podczas pobytu w Grecji i na Sycylji. Temat sam przypomina włoskie i greckie peregrynacje Sienkiewicza — a za żołnierza z pod znaku Sienkiewicza uważa się przecie sam Parandowski—jednakże nigdy nie widzimy tu naśladowania. Starożytność grecka jest tak wiecznie młoda, że i po Goethem, Shelleyu, Słowackim czy Sienkiewiczu można w niej znajdować coraz to nowe duchowe podniety. Parandowski ma, jak to mówi Słowacki, „oczy rafaelowe" i obdarzony jest „platońską i atycką uwagą" przeto dotrzega ogromnie dużo, a o wszystkiem umie opowiedzieć ciekawie, z wdziękiem, stylem prawdziwie klasycznym, użyte w jednym miejscu porównanie z lutnią Amfiona, która dźwiękiem swym zamieniła rumowiska kamienne w dzieła pięknej architektury, jest trafne i w zastosowania do samego autora „Dwóch wiosen".

*

Jako publikacja Tow. Przyj. Nauk w Wilnie, ukazał się „Autograf Zdań i Uwag Adama Mickiewicza", opracowany przez prof. Stanisława Pigonia. Z ważniejszych autografów poety ten jeden dotąd nie był wydany. Prof. P. ogłasza oto autograf Zdań, dochowany w bruljonie w Muzeum Mickiewiczowskiem w Paryżu, zaopatrując tekst Mickiewicza wyczerpującemi uwagami rzeczowemi, ustalając pomiędzy innemi datę powstania Uwag na lata 1833 i 1834. Rzecz jest wydana bez zarzutu, co chlubnie świadczy nietylko o wydawcy, ale też o stopniowo wzrastającej kulturze wydawniczej w Wilnie, której poziom podniósł znakomicie Uniwersytet. Po raz pierwszy ogłasza się to zdanie, oznaczone liczbą 83:

Świadek mówi, co widział, mędrcy, co się zdało.
I stąd między mędrcami męczenników mało.

Wydawnictwo zdobią dwie podobizny autografu.

*

Cenna rozprawa J. G. Pawlikowskiego o „Chronologji pism genezyjskich i rozwoju genezyjskich pomysłów Słowackiego" wyszła świeżo jako osobna odbitka z 24-go t. „Pamiętn. Literackiego". W rozprawie tej prof. P. zwraca uwagę na pierwszorzędną sprawę rozwoju filozofji Słowackiego od koncepcji czysto ewolucjonistycznej, spirytualistyczno-monistycznej, zbliżonej do deizmu i nieledwie wykluczającej ingerencję Bóstwa (1 red. *Genezis* z lata 1844), aż do stanowiska konsekwentnie chrześcijańskiego w „Liście do Rembowskiego" (lato 1847). Wnioski, które ustala prof. P., pozwalają czytelnikowi wejrzeć w tajnie filozofji Słowackiego, którą dotychczas rozpatrywano błędnie jako jedną całość, nie dostrzegając w niej linji rozwojowej, zarysowującej się teraz już dość wyraźnie. Szkoda tylko, że autor zbyt pochopnie określa poglądy poety z r. 1844, w przeciwieństwie do późniejszejszej spekulacji teologicznej, jak „proste i jasne". Chyba w takim stopniu, jak geometrja jest prostrza od psychologji, a fikcja jaśniejsza od... prawdy?

*

Pisma Ojców Kościoła, wychodzące w Poznaniu (księg. Fiszera i Majewskiego) pod redakcją prof. uniw. Jana Sajdaka, ukazują się nadal w coraz nowych tomach. Prócz tomów, omówionych poprzednio na tem miejscu, wyszły ostatniemi czasy dzieła Boecjusza i Kasjana, a w przygotowaniu są dzieła ś. Augustyna i Wincentego z Lerynu. „Wyznania" ś. Augustyna—najcudowniejsza opowieść o miłości matki—powinny obudzić szersze zainteresowanie nietylko zawodowych teologów i filologów; następnie polityka, filozofa i historyka musi zaciekawić arcydzieło tegoż pisarza: *„De civitate Dei"*. Równie doniosłą rolę w dziejach umysłowości ludzkiej odegrało dzieło „O pociechach filozofji" wybitnego męża stanu z czasów Teodoryka, Seweryna Boecjusza, jednego z najbardziej uniwersalnych ludzi, jakich zna historja (był politykiem, teologiem, poetą, matematykiem, muzykiem etc); dzieło to piękne przetłumaczył ks. dr. Tadeusz Jachimowski. Bardziej specjalne znaczenie mają djalogi Kassjana, pierwszego prawodawcy reguł zakonnych w zachodniej Europie oraz djalog z żydem „Tryfonem" i inne apologie chrześcijaństwa, pisane przez Euzebjusza z Cezarei. Wszystkie tomy opracowane sę wzorowo z uwzględnieniem najnowszych badań i przynoszą prawdziwą chlubę polskiej nauce.

*

Miłą książeczką jest „Smętek-Zwodnik" napisany przez Józefa Watrę-Przewłockiego, a wydany przez księg. św. Wojciecha. Autor dał tej książeczce podtytuł: „Klechdy i legendy Pomorza", choć, zdaje się, większość zawartych tu powiastek jest całkiem oryginalna i z ludową klechdą wiąże się tylko postacią Smętka (Smantka), która w wierzeniach kaszubskich odpowiada podobno djabłu. Postać ta znana z pism Żeromskiego („Wiatr od morza", „Wspomnienie o M. Abrahamowiczu") została przez Przewłockiego uchwycona rozmaicie: w jednych nowelkach jest to — znany z polskich podań ludowych — djabeł głuptas, którego lada chłop czy lis może wyprowadzić w pole, kiedyindziej zaś jest to wcielenie zła, które na Słowian przyszło od Niemców. Potoczysty język i barwny styl (zwłaszcza w nowelach początkowych) winny zjednać tej książce poczytność. Autor podobno ma w przygotowaniu trylogję, której część I „Szukanie Boga", wyszła nakł. księg. Rzepeckiego w Poznaniu.

Z LITERATURY ZAGRANICZNEJ

Louis Artus, autor *„La Maison du fou"* i *„La Maison du sage"*, a równocześnie pisarz dramatyczny cieszący się dużem powodzeniem, porzucił dobrowolnie sukcesy sceniczne, oddając się wyłącznie literaturze. Jego twórczość nie jest zresztą ogółowi przystępną, ale Louis Artus nie dba o to, bo nie łaknie bynajmniej łatwego rozgłosu. Ostatnia jego powieść *„Les Chiens de Dieu"* (Grasset édit.) jest szeregiem niezwykłych przygód. Jest tam mowa i o magji i o pakcie z djabłem, zawartym w mieszkaniu kubistycznem, znajdującem się w pobliżu Wieży Eiffa. Pomimo zaś, że w książce też poświęcono dużo miejsca siłom demonicznym, przebija z jej kart mistyczna idea zbawienia i wiary.

*

„*Dieu nous voit*“ (Grasset édit.) — oto tytuł książki Maurycego d'Hartoy, tytuł, który sam w sobie zawiera całą zasadniczą jej treść, wyrażając dobitnie wiarę w Opatrzność, jaka nad nami czuwa, oraz oparcie, jakie daje duszy ludzkiej świadomość obecności boskiej. Dzięki tej wierze pani Ormelle i porucznik Gilles nie popełnili czynu nieodwołalnego. W chwili bowiem ostatecznego niebezpieczeństwa, okrzyk ten, rzucony przez kobietę, ocala ją i jej ukochanego od zguby. Nie dość na tem. Pani Ormelle sprowadzi do Boga człowieka, który przez miłość dla niej odeń się odwrócił. Toteż jakkolwiek oddzieleni są od siebie w znaczeniu ludzkiem, to jednakowoż połączy ich raz na zawsze wspólny ideał oraz wiara głęboka. Książka ta jest bardzo interesująca; jest dobrą powieścią o duchu wybitnie katolickiem. Jej bohaterowie walczą, gdyż życie ludzkie wystawione na pokusy, ale im się zwycięsko opierają, poddając dyscyplinie uczucia, poskramniając namiętności.

*

P. Marja Le Franc, której przypadła w tym roku nagroda „*Femina*“ za jej znakomity utwór, sławiący piękno Bretanji w „*Grand Louis l'Innocent*“, przygotowuje nową powieść p. t. „*Le Poste sur la dune*“.

TRZECI ZJAZD BIBLJOFILÓW POLSKICH WE LWOWIE

PO RAZ trzeci zrzeszone bibljofilstwo nasze odbyło (26 — 29 maja) uroczysty przegląd swych sił w celu podjęcia dalszej zbiorowej akcji, zmierzającej do nadania książce polskiej wyrazu większego dostojeństwa.

Kiedy zebrała się brać bibljofilska na swój pierwszy sejmik w r. 1925 w Krakowie, liczyła razem około 200 członków zrzeszonych w 6 towarzystwach, zawiązanych kolejno w Warszawie, Krakowie, Zamościu, Paryżu, Lwowie i Poznaniu w okresie od 1921 r. do 1925 r. Obecnie jest już 11 zrzeszeń bibliofilskich — przybyły nowe w Toruniu, Wilnie, Lublinie, Łodzi i Kaliszu — z ogólną liczbą przeszło 470 członków.

Już te cyfry same przez się świadczą wymownie o wzroście i rozwoju ruchu bibljofilskiego u nas.

Niemniej wzmogła się i spoistość organizacyjna zrzeszonych miłośników książki. Walnie przyczyniła się do tego Rada Bibljofilska, z przedstawicieli zrzeszeń bibljofilskich złożona, a powołana na Pierwszym Zjeździe w r. 1925 w Krakowie, w celu utrzymywania łączności między polskiemi towarzystwami bibljofilskiemi, inicjowania zjazdów bibljofilskich i wykonywania ich uchwał, reprezentowania polskich towarzystw bibljofilskich w kraju i zagranicą, krzewienia i popierania polskiego ruchu bibljofilskiego oraz gromadzenia o nim informacyj.

We Lwowie w przeddzień Trzeciego zjazdu odbyła Rada Bibljofilska piąte swe posiedzenie, na którem przyjęto do zatwierdzającej wiadomości sprawozdanie Prezydjum Rady za cały czas jej 3-letniej kadencji (1925—28), omówiono szerzej dalsze wytyczne na okres najbliższy, uchwalono na wniosek T-wa Bibljofilów Polskich w Poznaniu, że następny, czwarty Zjazd Bibljofilski odbędzie się w r. 1929 w Poznaniu z okazji setnej rocznicy otwarcia Bibljoteki Raczyńskich, wreszcie powołano jednomyślnie do prezydjum Rady na następną 3-letnią kadencję ponownie wszystkich poprzednich jego członków.

Trzeci Zjazd Bibljofilów Polskich we Lwowie odbył się łącznie ze Zjazdem Biljotekarzy Polskich, niewłaściwie nazwanym „piewszym“, ponieważ pierwszym był bezspornie — kto wie czy nie liczniejszy — zlot bibljotekarzy i bibljografów na Drugim Zjeździe Bibljofilów Polskich w r. 1927 w Warszawie. Na nim przecież w sekcjach bibljograficznej i bibljotekarskiej poruszono i omówiono najdonioślejsze zagadnienia z zakresu bibljografji i bibljotekarstwa, z których, pewne, choć nie najistotniejsze, wzięto częściowo pod obrady Lwowskiego Zjazdu Bibljotekarzy.

Łączność wyrażała się we wspólnych uroczystych posiedzeniach otwarcia i zamknięcia obu Zjazdów, pozatem obrady toczyły się całkiem osobno.

Podczas inauguracji obu Zjazdów, po przemówieniu prezesa T-wa Miłośników książki we Lwowie, p. Stanisława Łempickiego, nastąpiło ukonstytuowanie się wspólnego Prezydjum Zjazdów, do którego w charakterze przewodniczącego powołano hr. Edwarda Krasińskiego z Warszawy. Następnie po przemówieniach powitalnych różnych delegatów m. in. Czechów, Prezes Rady Bibljofilskiej p. Stefan Demby wygłosił interesujący odczyt o Bibljotece Narodowej, który T-wo Bibljofilów Polskich w Warszawie wydało własnym sumptem jako dar dla uczestników Zjazdu Lwowskiego.

Na posiedzeniu inauguracyjnem przeciwnicy utworzenia Bibljoteki Narodowej w Warszawie — w myśl dekretu o niej z dn. 24 lutego 1928 r. — usilnie kolportowali odbitkę z „Czasu“ z artykułem Stanisława Estreichera o „Dekrecie o Bibljotece Narodowej“, który profesorowi krakowskiemu nasunął tyle obaw i wątpliwości, że profesor zamiast uzyskać od fachowców — tych nie brak przecież w Krakowie—kompetentne uspakajające wyjaśnienia w tym względzie, pośpieszył podzielić się swoją pełną nieznajomości rzeczy elukubracją aż z uczestnikami obu Zjazdów we Lwowie! Wywołało to zdziwienie, a nawet obudziło pewne uczucie niesmaku.

Niezwłocznie po wspólnem posiedzeniu inauguracyjnem nastąpiło właściwe otwarcie Trzeciego Zjazdu Bibljofilów. Na przewodniczącego, zgodnie z tradycją poprzednich zjazdów, powołano prezesa T-wa Bibljofilów Polskich w Poznaniu p. Saturnina Mravincsicsa. Poczem wiceprezes Rady Bibljofiskiej, założyciel czasopisma bibljofilskiego „Exlibris“, p. Franciszek Biesiadecki wygłosił piękny odczyt o Józefie Maksymiljanie Ossolińskim jako bibljofilu, — temat był szczególnie aktualny z uwagi, że oba Zjazdy zwołano do Lwowa w celu uświetnienia setnej rocznicy Zakładu Narodowego im Ossolińskich, którą jednocześnie bardzo uroczyście obchodzono.

Na posiedzeniu poniedziałkowem dn. 28 maja poruszono czołowe zagadnienia bibljofilskie. Zainicjował dyskusję Emil Zegadłowicz z Poznania w poetyckiej, choć bardzo fachowej „Gawędzie Poety z Typografem,“ dając wyraz swej trosce o właściwe i godne oblicze książki polskiej, któreby ją należycie i dodatnio wyróżniało od angielskiej, francuskiej, czy innej. Byłoby wielce pożądane, aby „Gawęda“ ta jaknajprędzej mogła wyjść z druku i w ten sposób skuteczniej jeszcze przyczynić się do rozbudzenia wśród jaknajszerszych sfer miłośników książki zrozumienia poruszonej przez Zegadłowicza sprawy.

Również ważkie tematy bibljofilskie poruszył Kazimierz Hartleb ze Lwowa w przemówieniu dyskusyjnem „o Przeszłości i przyszłości bibljofilstwa polskiego“, starając się bliżej skonkretyzować jego potrzeby najbliższe i sposoby ich realizacji. Niestety, z powodu braku czasu zapewne, tematy te nie wywołały oczekiwanej dyskusji. Poruszono jedynie sprawę przyspieszenia ukończenia „Bibljografji Polskiej“ K. Estreichera, która utknęła na 26-tym tomie jeszcze w r. 1915 i od tego czasu nie może dalej ruszyć z miejsca, pomimo uchwały powziętej w tej sprawie w r. 1925 na Pierwszym Zjeździe Bibljofilów Polskich w Krakowie, że „ukończenie tego wydawnict-

wa jest najważniejszym postulatem nauki polskiej w dziedzinie bibljografji", oraz pomimo zapewnienia sfer miarodajnych, że wydatne poparcie materjalne na kontynuację i ukończenie druku „Bibljografji Polskiej" jest zapewnione.

Winę za to ponosi, jak się o tem w toku dyskusji dowiedziano, nowy od r. 1910 wydawca „Bibljografji Polskiej", prof. Stanisław Estreichert, który będąc widocznie przeciążony ważniejszemi pracami i sprawami nie wiele może poświęcać czasu na opracowanie surowego materjału,—przygotowanego do kontynuacji Bibljografji.

W obronie prof. Stanisława Estrerchera stanął członek Polskiej Akademji Umiejętności prof. J. Łoś, zapewniając, że prof. Stanisław Estrercher usilnie nad kontynuacją „Blibljografi Polskiej" pracuje. Prof. Łoś nie wiedział zapewne, że niemal w tym samym czasie w tymże gmachu Uniwersytetu Jana Kazimierza, tylko w innej sali na Zjeździe Bibljotekarzy, inny pracownik Polskiej Akademji Umiejętności składał rzeczowe wyjaśnienie, iż będący w posiadaniu Polskiej Akademji Umiejętności materjał do dalszej kontynuacji „Bibljografi Polskiej" pozostaje nadal *in crudo*, nie skontrolowany *de visu* z objektami, i że iście żółwim krokiem opracowanie posuwa się naprzód. Miało się wrażenie, że o ileby praca miała iść dalej w tem samem tempie, trzecie dopiero pokolenie naszych bibljofilów i bibljotekarzy doczeka się zapewne jej końca.

Nic dziwnego zatem, że gorliwa obrona prof. Stanisława Estrerchera przez prof. J. Łosia nie znalazła posłuchu i że został jednomyślnie przyjęty wniosek redaktora Ludomiła Lewenstama z Warszawy, aby Trzeci Zjazd Bibljofilów Polskich we Lwowie podjął energiczne zabiegi w celu jaknajszybszego ukończenia „Bibljografji Polskiej".

Zgłoszono przy tej sposobności nawet demonstracyjny wniosek, aby prof. Stanisławowi Estrercherowi wyznaczyć termin prekluzyjny ukończenia pracy oraz aby, o ile okaże się to dla profesora zbyt uciążliwe, powierzyć kontynuację Bibljografji godniejszym pracownikom, którzy uszanują wolę Zjazdów Krakowskiego i Lwowskiego, a których w Krakowie oczywiście nie zabraknie.

Poobiednie posiedzenie poniedziałkowe wypełniły referaty poświęcone zdobnictwu książki. Olga Reichensteinówna ze Lwowa omówiła problemy i postulaty „Szaty ilustracyjnej książki". Krystyna Remerowa ze Lwowa dała piękną charakterystykę artysty malarza o wybitnym talencie — Stanisława Dębickiego (1866—1924) jako propagatora nowych haseł w dziedzinie ilustratorstwa książki i zasłużonego na tem polu działacza zwłaszcza na gruncie lwowskim. Wreszcie Zuzanna Rabska z Warszawy w pięknej formie omówiła współczesny „Artystyczny exlibris polski".

Obrady wtorkowe rozpoczął Aleksander Czołowski ze Lwowa przedstawieniem ponurego obrazu „Zniszczeń wojennych bibljotek małopolskich" w czasie wielkiej wojny europejskiej. Zakończył zgłoszeniem wniosku, aby trzeci Zjazd Bibljofilów Polskich polecił Radzie Bibljofilskiej zajęcie się szczegółową inwentaryzacją tych zniszczeń. Następnie Witold Ziembicki ze Lwowa podzielił się z obecnymi swemi cennemi uwagami bibljograficzno-historycznemi „W sprawie „Dryas Zamchana" Jana Kochanowskiego". Fotograficzną podobiznę autografu wydał z okazji Zjazdu Lwowskiego, zaopatrzywszy odpowiednim wstępem, sam referent, a *facsimile* druku z 1578 r. jako pierwszego druku we Lwowie, opublikował w 350-tą rocznicę zasłużony nestor bibljofilów polskich, Franciszek Biesiadecki, jako miłą pamiątkę dla uczestników Zjazdu. Dalej dr. Józef Fritz ze Lwowa dał ciekawy obraz „Księgozbiorów lekarzy lwowskich XVI w", na źródłach archiwalnych oparty, który w specjalnej odbitce otrzymali w darze od autora i nakładcy uczestnicy Trzeciego Zjazdu Bibljofilów Polskich we Lwowie. Maryla Tyszkiewiczowa z Florencji sprezentowała obecnym i omówiła własnemi siłami wykonane prace z zakresu sztuki florenckiej, jako autorka, typografistka, ilustratorka i introligatorka, uzyskując za tę niezwykłą działalność wyrazy ogólnego podziwu i uznania. Wreszcie Kazimierz Hartleb przedstawił „Dzieje spuścizny królewskiej", omawiając dzieje i losy słynnego księgozbioru Zygmunta Augusta. Cenne to studjum z dziejów kultury polskiej XVI w. otrzymali w darze od T-wa Miłośników książki we Lwowie wszyscy uczestnicy i hospitanci Zjazdu.

W związku z ostatnim referatem Kazimierza Hartleba Zjazd Bibljofilów na wniosek Kazimierza Piekarskiego z Krakowa powziął bardzo celową uchwałę, aby rozproszone na ziemiach polskich szczątki książnicy Zygmunta Augusta zespolić nanowo i umieścić na Wawelu, szczątki zaś księgozbiorów królów elekcyjnych, również po scaleniu, ulokować na Zamku Królewskim w Warszawie.

Po wyczerpaniu porządku obrad zabrał głos wiceprezes Rady Biblofilskiej Franciszek Biesiadecki i zawiadomił obecnych o uchwale Rady, aby następny czwarty Zjazd Bibljofilów Polskich odbyć w r. 1929 w Poznaniu, co spotkało się z ogólnem uznaniem. Następnie przewodniczący Trzeciego Zjazdu Bibljofilów Polskich we Lwowie. Saturnin Mravincsics, jako prezes T-wa Bibljofilów Polskich w Poznaniu, w imieniu tegoż T-wa, wśród niemilknących oklasków, zaprosił wszystkich obecnych na następny Zjazd do Poznania. Gorącem podziękowaniem T-wu Miłośników Książki we Lwowie ze strony przedstawiciela T-wa Bibljofilow Polskich w Warszawie za cenne i bardzo liczne dary, które wartoby szczegółowo omówić osobno — także za staropolskie gościnne przyjęcie oraz za trudy poniesione przy organizacji Trzeciego Zjazdu, zakończono obrady.

Zaraz potem nastąpiło w auli Uniwersytetu Jana Kazimierza uroczyste zamknięcie obu Zjazdów Bibljofilów i Bibljotekarzy, na którem odczytano zaproszenie Magistratu m. Poznania na następne zjazdy w r. 1929 do tego miasta.

Dodać wreszcie należy, że w związku ze Zjazdem Bibljofilskim urządzono we Lwowie cały szereg ciekawych i bardzo pouczających wystaw: książki lwowskiej od XVI do XIX w., grafiki Stanisława Dębickiego, grafiki Rudolfa Mękickiego, dawnego introligatorstwa lwowskiego, opraw Aleksandra Semkowicza, plakatu artystycznego lwowskiego, druków ruskich i lwowskiej książki hebrajskiej oraz zabytków sztuki żydowskiej, wystaw, które niemało przyczyniły się do uświetnienia Trzeciego Zjazdu Bibljofilów Polskich we Lwowie.

EDWARD CHWALEWIK

NOWE KSIĄŻKI

Kozicki Stanisław. Na Sycylji Warsz. 1928 r. Gebethner i Wolff. Str. 125.

Kozicki Stanisław. Niemcy i Polska na tle polityki powojennej. Warsz. 1928. Bibl. „Myśli Narodowej" — 2. Str. 40.

Weyssenhoff Józef, O sztuce pisarskiej Pawła Cazin — z dołączeniem czterech jego nowel z 5 ilustr. — Warsz. 1928, Gebethner i Wolff.

Sobeski Michał. Z pogranicza sztuki i filozofji. Poznań 1928: Fiszer i Majewski.

Skałkowski Adam Fragmenty. Poznań 1928. Księg. Uniwers.

Tołstoj Leon Anna Karenina t. V i VI, bibl. dzieł wybor.

Saysse-Tobiczyk Kazim. dr. Wielkie Zakopane i park narodowy w Tatrach. Warsz. 1928

Grabski Stanisław. Ekonomja społeczna V. Stosunki robotnicze. Lwów 1928. Zakład nar. im Ossolińskich.

Mikulski — Wójcik — Kozera. Elementarz powszechny. Lwów. Zakład Nar. im. Ossolińskich.

Perzyński Włodzimierz. Znamię. Nowele Warsz. 1928. Gebethner i Wolff.

Wóycicki Kazimierz. Walka na parnasie i o parnas. Materjały i opracowania do dziejów pozytywizmu polskiego. Cz. I. Warsz. 1928. Gebethner i Wolff. S. 234.

Gąsiorowski Wacław. Księżna Łowicka. Powieść hist. z XIX w. 2 tomy, Warsz. 1928. Dom Książki Polskiej.

Olgierd Stella. Hanka. Powieść. Bibl. Domu Pol·

Muzea regjonalne ich cele i zadania. Książka zbiorowa. Bibljoteka Regjonalna, t. I. Warsz. 1928. Wydano z zasiłku Min. Osw. publ. S. 277.

Frankowski Eug., prof. un. Pozn. Kalendarz obrzędowy ludu polskiego Warsz. 1928. Bibl. Regjonalna t. II. Skład główny: Nasza Księgarnia.

Pigoń Stanisław. Seweryn Goszczyński w sporze z Kołem „Sprawy". Kartka z dziejów towianizmu. Odbitka z „Przeglądu Współcz." S. 41.

Komarnicki Wacław dr. prof. O praworządność i zdrowy ustrój państwowy. Aktualne zagadnienie konstytucyjne z okresu maj 1926—marzec 1928. Wilno 1928. S. 63.

Koskowski Bronisław. Destylacja olejków lotnych z roślin krajowych. Warsz. 1928, S. 27.

Pomirowski Leon. Doktryna a twórczość. Rzecz o współczesnej krytyce, najnowszej prozie polskiej i o dramacie. Warsz. 1928. J. Mortkowicz. S. 213.

Augustynowicz Jan. Piekło. Pieśń życia i śmierc Warsz. 1928. Dom Książki Pols.

Relidzyński Józef. Powrót z tamtego świata. Warsz. 1928. Dom Ks. Pol.

Ruch Literacki, nr. 5—maj.

Przegląd Współczesny, czerwiec.

Walka z bolszewizmem. Zesz. IV.

Przegląd Powszechny, maj.

Sztuki Piękne. Kraków, Rocz. IV, nr. 6.

Pamiętnik Literacki pod redakcją Br. Gubrynowicza. Roczn. XXV, zesz. I Lwów 1928.

ZMARLI

Ś. P. EDMUND LIBAŃSKI

W Brześciu n. Bugiem dn. 10 maja zgasł ś. p. inż. Edmund Libański. Nazwisko to było oobrze znane od lat szerokim sferom inteligencji małopolskiej i zapisane z trwałym dorobkiem oświatowo-popularyzacyjnym. Zgasły był niestrudzonym pracownikiem o bardzo szerokim zakresie działalności. Jeden z założycieli Uniwersytetu Ludowego T-wa im Mickiewicza, długoletni redaktor zasłużonego dla rozwoju przemysłu w b., Galicji pisma „Przemysłowiec", wynalazca i konstruktor pierwszego w Polsce modelu aeroplanu, ruchliwy prelegent oświatowy, a nadewszystko autor świetnie i gruntownie pisanych rozpraw, feljetonów, studjów i artykułów poświęconych najciekawszym i najdonioślejszym zdobyczom nauk przyrodniczych, techniki, medycyny it.d., któremi zasilał pisma lwowskie, krakowskie i warszawskie. Ś. p. Libański był typem wyjątkowo bogato uzdolnionym, bo nawet poświęcał się literaturze pięknej.

Życie miał twarde, zmuszony był do ciągłego borykania się z przeciwnościami. Zgasł w pełni sił, niedoceniony, jak tylu innych, przez nasze społeczeństwo.

NA MARGINESIE

Ułaskawiony z więzienia na pokorną prośbę W. Stpiczyński poświęca p. Trąmpczyńskiemu z powodu jego wielkiej mowy Sejmowej (ob. Przegląd Polityczny) artykuł wstępny w oddanym rządowi „Głosie Prawdy". Tem gorliwiej wysługując się zwierzchności swojej, pisze w ten sposób o zasłużonym parlamentarzyście:

„Spójrzmy na tekst owej dziewiczej mowy tego starca, którego biel siwizny mieni się rdzawym odblaskiem krwi Pierwszego Rzeczypospolitej Prezydenta, mowy dziewiczej a może ostatniej i oby ostatniej". Skoro się tak w „Głosie Prawdy" pisze, to wiemy, że słowa takie nie proroctwem są, lecz życzeniem, Wszystkie momenty „kryminalnego romansu", (słowa Mackiewicza z B. B.) o których właśnie była mowa w Sejmie, dałyby się odnaleźć w „Głosie Prawdy" w stadjum, kiedy były w ten sposób „przeczuwane". A przecież p. Trąmpcayński wszystkiego nie powiedział Ułaskawiony filut, wieszcząc sąd historji, uspakaja sumienie żyjących:

„W obliczu historji stoi kabaretowy trybunał p. Trąmpczyńskiego i obwiniony przed nim Piłsudski. Trybunał ufundowany na umiłowaniu pośladków p. Nowaczyńskiego i Komendant, wyrosły w śwfat historyczności z miłości Wolności, Polski i z ofiary ciężkiej życia całego, i z genjuszu myśli.

„I oto jest tragedja Polski dzisiejszej, zawarta w niebezpiecznej skali fantastycznych możliwości, w tem, że cymbał brzmiący porywać się może przeciw czynowi spiżowemu — a także jest w tem komedja naszej rzeczywistości, że Trąmpczyński, najbardziej beztreściwa egzystencja, może się drapować w togę sędziego najbardziej twórczej indywidualności w Narodzie Piłsudskiego".

*

Na marginesie sprawozdań z rozpraw budżetowych w Sejmie Adolf Nowaczyński, po przeczytaniu mowy ks. Janusza Radziwiłła z klubu jedynki B.B. (Sławek prezesem), napisał znakomity fejleton w „Gazecie Warszawskiej" w formie listu Podfilipskiego do pani Płoszowskiej. Podfilipski donosi o wiktorji odniesionej przez „naszego *Prince Rouge et Noir*".

„Sukces niebywały, nie notowany. Początkowo miał mówić Eustachy, ale się w klubie myśliwskim bał, że go będą szykanować tem powstaniem, jakie robił kilka lat temu, więc desygnowali *Prince Rouge*. Sejm był cały w komplecie, bo teraz odbywa się wielkie pranie brudów tej bogatej „Jedynaczki". *Entre nous soit dite*, dziewica choć tak posażna i takiemi funduszami gadzinowemi dysponująca, cokolwiek zaniedbuje się w swych *combinaisons* i czystością nie grzeszy. To też siedzi Jedynaczka, jak na węglach rozżarzonych, gdy o niej mówią kolejno wszyscy, różne takie skandale.

„Książę miał sytuację dość trudną, bo poprzedni solista jako orator i statysta okazał się Słabek i miał tylko monolog o romantyzmie, zresztą przyjęty przez naszych owacyjnie, bo podobno on dawnemi laty rzucał bombami na wszystkich gubernatorów kolejno, a naszym to teraz ogromnie imponuje i cieszy, że żadna bomba im się nie dostała. Nie możecie sobie wyimaginować jak go słuchali, że w Sejmie było cicho jak Markiem zasiał i wszyscy wpatrzeni w niego jak zakochani w księżyc na nowiu· Bądź co bądź co *prince* to *prince* i ci ludzie, *en bloc* wzięci znają jeszcze *mores* i mają respekt, wiedzą że kto dobrze radzi Wilhelmom, ten potrafi dobrze poradzić i rodzonej ojczyźnie. Obserwowałem od czasu do czasu naszego Koposla (Olka Skrzyń.) był blady, nie, zielony z *jalousie*, widząc jak nowe słońce wchodzi na jego horyzornt.

„Ordynatowa szepnęła mi, że czasem, szczególnie w momentach, gdzie groził tak zwanemi komplikacjami międzynarodowemi wprost przypominał tego Skargę z obrazu Reytana.

„*Prince Rouge et Noir* był w miarę liryczny, w miarę ironiczny, w miarę patrjotyczny, no i w miarę socjalistyczny, bo bez tego teraz ani rusz się przedostać. Koło nas w sąsiedniej loży siedział ten wspaniały rabin Perlmutter, któremu pierwszy złożył wizytę i miał poprostu łzy w oczach. Kiwał mu też raz po raz sam marszałek, co jest bardzo znaczące wobec tego, że oni kiedyś byli nieco *fachés* ze sobą, bo pan Ignacy jako wiedeńczyk był za Karolem, a książę jako berlińczyk, oczywiście za nieszczęśliwym Hohenzollernami"...

Przytaczamy tylko urywek. Jest jeszcze humor w Polsce. Szkoda, że tak łatwo da się zbierać garściami z życia publicznego.

TREŚĆ:

Adres Redakcji: Marszałkowska 153, tel. 25-45. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr 17, 2-gie piętro. Tel. 11-90.

WARUNKI PRZEDPŁATY: kwartalnie z dostawą zł. 6, rocznie zł. 24, za granicą kwart. zł. 9. Konto czekowe na P. K. O. 3.105.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI — Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI

Druk. A. Michalskiego, sp. z o. o., Chmielna 27. Telefon 27-15. — PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM